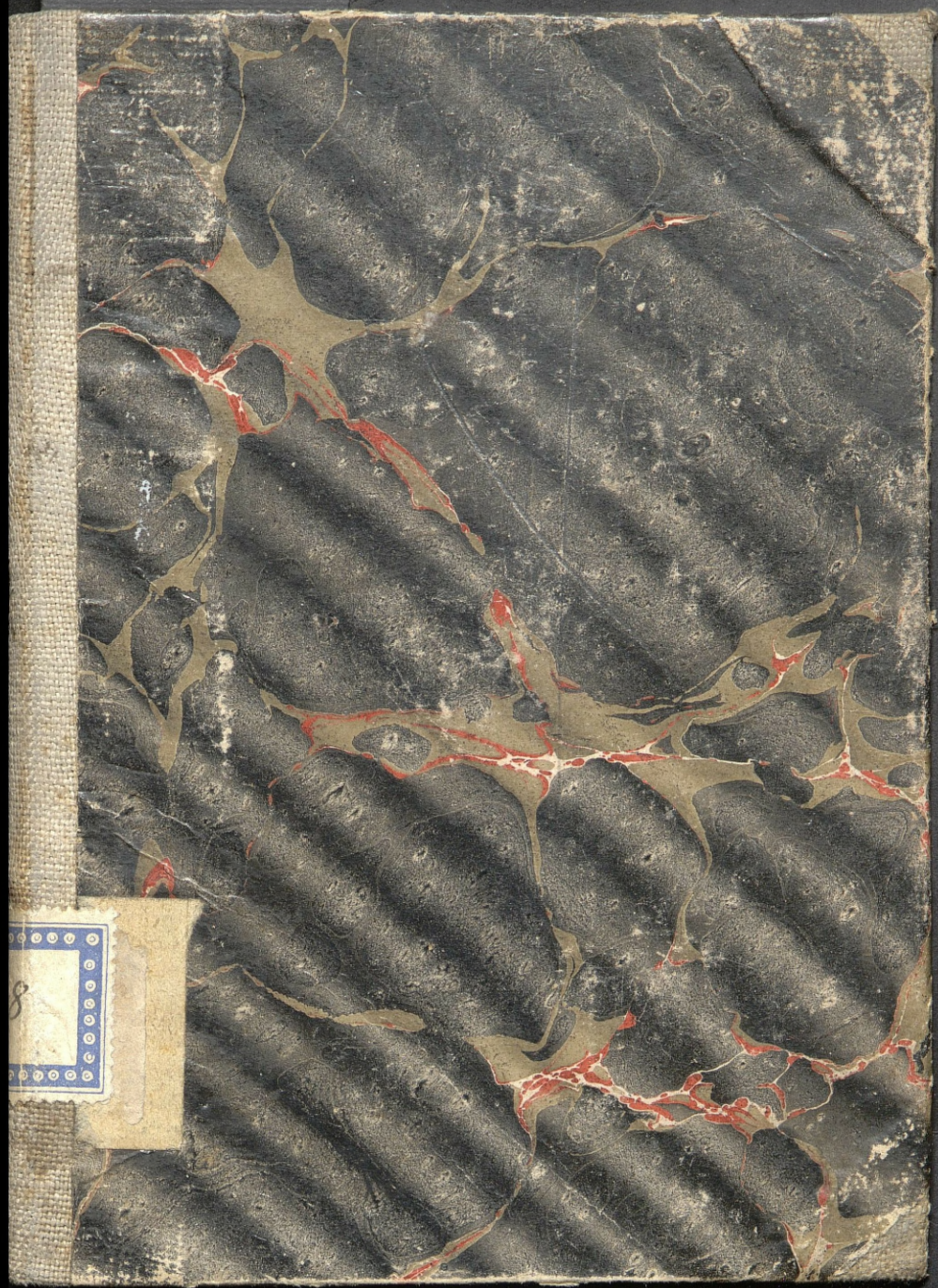
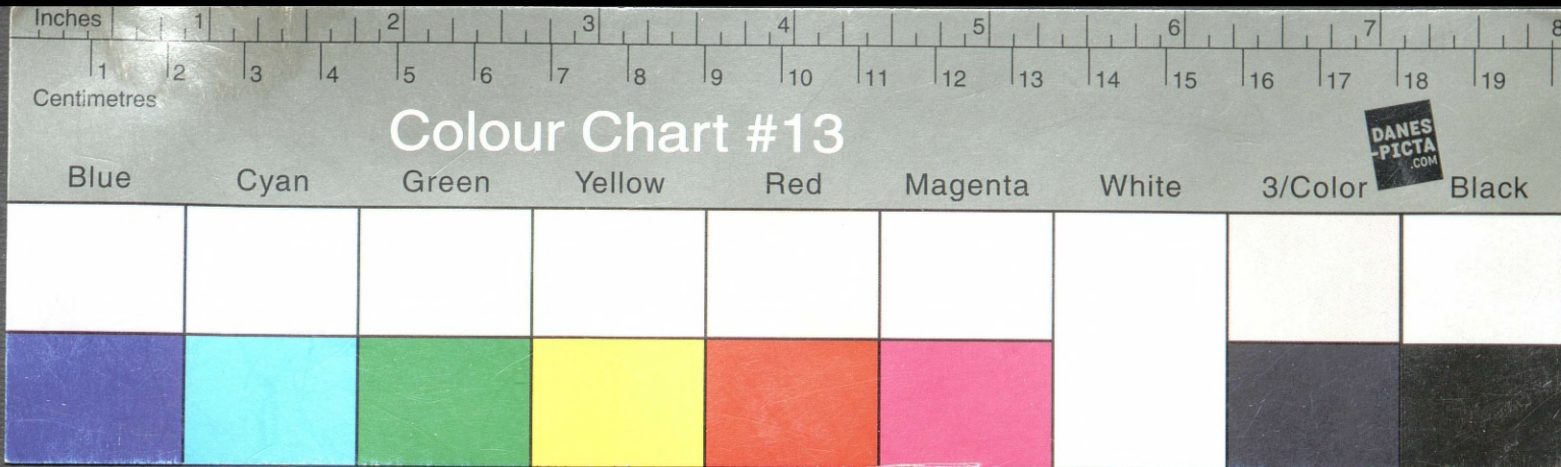






418 630/26
MARCELI HANDELSMAN

W PIĄTYM PUŁKU LEGJONÓW

DWA MIESIĄCE OFENSYWY
LITEWSKO-BIAŁORUSKIEJ 845



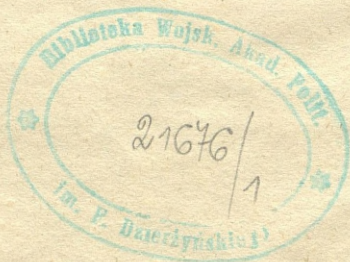
ZAMOŚĆ

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA

555.31/438/a.

Kolegom moim

Gustawowi Przychockiemu, majorowi artylerji,
Stanisławowi Szoberowi, szer. ochot. 201 p. a. p.
ofiarowuję.



OKŁADKĘ RYSOWAŁ PORUCZNIK T. KAMIENSKI

WYKONANO W TŁOCZNI WACŁAWA PIEKARNIAKA
W WARSZAWIE

IV. 1921

Było to w początkach lipca. Bolszewicy zbliżali się coraz bardziej, wojska nasze cofały się, przychodziły wieści ciężkie: po Wilnie padło Grodno, Białystok już zagrożony. Powstała R. O. P. Naczelnny Wódz wzywał w jej imieniu ochotników. Już się formowała armja ochotnicza, powstawał z dwóchsetnych pułk pierwszy, do którego zapisywała się inteligencja, skupiona koło osoby Piłsudskiego. Niebezpieczeństwo najazdu stawało przed oczyma wszystkich, nawet przed oczyma Warszawy, która wreszcie zmieniła swój wygląd zewnętrzny.

W rozmowie z jednym z kolegów zastanawialiśmy się wówczas nad motywami, które popychały do szeregów 201 o. p. p. Nie potrafię dzisiaj odtworzyć nastroju tej rozmowy, w schemacie zaledwo przypomnę zasadniczy jej bieg myśli. Wojna z czerwoną armją rosyjską miała wtedy podwójne znaczenie. Była obroną Polski, zagrożonej przez nową postać Rosji, która, jak zawsze, obłudnie odmawiała nam prawa do bytu w formie

przez nas upragnionej i w zgodzie z dawnymi praktykami mikołajowsko-aleksandrowskimi przynosiła uszczęśliwienie tym razem sowieckie, według swojej recepty wszechrosyjskiej. Była obroną przed rewolucją socjalną, narzucaną z zewnątrz, która pragnęła i nas napiętnować swoim specyficznym systemem bosiackim, z wytępieniem doszczętnym inteligencji nie należącej do rządzącego kościoła bolszewickiego, z wyniszczeniem za tym wszelkiej inteligencji u nas. Jako inteligencja, która przez długie lata jedyna w Polsce głosiła hasło niepodległości własnego państwa, mieliśmy obecnie obowiązek przypieczętowania krwią tej prawdy, mieliśmy obowiązek bezpośredniej walki za Ojczyznę. Mieliśmy nadto obowiązek obrony kultury przed najazdem barbarzyństwa, obowiązek stwierdzenia zdolności „inteligencji“ naszej do życia, zaprzeczenia ceniom nawet podobieństwa do bezsilnej i nieudolnej t. zw. inteligencji rosyjskiej. I gdybyśmy w wojnie tej nawet ulec mieli, sam fakt walki na śmierć i życie — byłby dowodem nowym, dla następnych pokoleń ożywym na rzecz Polski niepodległej i własnej kultury naszej.

W kilkanaście dni później, kiedy wypadki na froncie zaczęły przybierać formę katastrofy, prze-

kazując obowiązki swoje miałem sposobność mówienia z prof. C., wybitnym specjalistą, w ostatnich czasach zaznaczonym w polityce kierunku narodowo-demokratycznego. Wyrażał on obawy, czy nie ubożymy sami kultury, czy rękami własnymi nie przygotowujemy gruntu, dla owej pustyni inteligencji, tak pożądanej przez bolszewików, czy zamiast iść do szeregów, nie powinniśmy i teraz w obliczu niebezpieczeństwa trwać przy swych ogniskach naukowych, czy nie wybieramy czasem decyzji łatwiejszej, i czy na wypadek najwyższego niebezpieczeństwa nie należało ratować warsztatów i zachowywać przy nich pracowników, zdolnych do ich użycia.

Postawiona między dwoma biegunami troski o przyszłość narodową inteligencja nasza setkami, tysiącami, zapisywała się do pułków, dziesiątkami znaczyła pola walk krwią swoją.

Idąc do wojska, jako historyk, myślałem o tym, ażeby, o ile wojnę przetrwam, zachować wierne wspomnienie przeżyć przeciętnego inteligenta polskiego w dobie wysiłku całego narodu, latem i jesienią 1920 r. Porwany chaosem okresu przygotowawczego, przerzucany z miejsca na miejsce, co dnia na nowo uczony od początku tych samych „zasadniczych“ rzeczy musztry formal-

nej, w warunkach życia koszarowego, nie pozwalających — mimo wyjątkowej uprzejmości oficerów, z którą się stale spotykałem — nie tylko na skupienie, lecz na myślenie elementarne, w warunkach istnienia zewnętrznego materialnego, urągających wymaganiom najprostszemu skromnego nawet człowieka kulturalnego, nie mogłem notować przeżyć swoich i swych towarzyszków. Potym zostałem wyrwany rozkazem z koszar i wraz z oddziałem ochotników i ozdrowieńców wyjechałem na front. Jechaliśmy drogą okólną: z Warszawy przez Kraków, Przeworsk, Lublin, Siedlce, Platerów, szliśmy przez Bielsk, Białystok, Osowiec na Janów Grodzieński, gdzie po dwu tygodniach dogoniliśmy własny pułk. Sytuacja była zupełnie zmieniona; po rzekomej klęsce przyszły dni prawdziwego tryumfu, dni zwycięstw, które nam miały odtąd towarzyszyć do końca. Nastrój nasz zmienił się zasadniczo: podniecenie spowodowane powodzeniem wojsk naszych potęgowało się jeszcze bardziej w chwili bezpośredniego zetknięcia się z nimi. Los zgottał nam szczęśliwe wejście w służbę frontową: 1 września, w dzień cudowny, przesycony blaskiem słonecznym i błękitem nieba, po uroczystej mszy polowej rozdawał przed kościołem w Ja-

nowie gen. Rydz-Śmigły I-ej dywizji legionowej pierwsze krzyże „Virtuti Militari“.

Powracałem pamięcią do ciężkich dni lipcowych, i nie odnajdowałem w sobie wspomnień dawnych. Zatarły się, zbladły, zmałyły, zanikły. Wtedy to odczułem z nadzwyczajną wyrazistością to, co wiedziałem teoretycznie oddawna, wtedy z całą ostrością zrozumiałem bezwartościowość Pamiętników, spisanych w czasie późniejszym, nawet na podstawie dziennika współczesnego. Minęło zaledwie sześć tygodni, wprawdzie życia, bogatego treścią wewnętrzną i zewnętrzną, zaledwie kilkadziesiąt dni oddzielało mnie od decyzji, która wydawała mi się najdonioślejszą, a ja nie byłem w stanie odtworzyć w szczegółach zdarzeń, które minęły, nie mogłem w sobie odbudować nastrojów, przeżyć tak niedawnych, zdawałoby się, a tak już odległych. W rękę miałem suchy tylko wykaz dat i miejscowości pobytu, który prowadziłem od początku. O wypełnieniu tego schematu treścią żywą nie mogłem marzyć. Zarzuciłem więc zamiar pierwotny.

Jeżeli podjąłem go obecnie, to podjąłem w postaci zgoła odmiennej i o innym zupełnie zakresie, w ramach, które wypełnić pozwala mi mo-

je doświadczenie wojenne oraz poczucie względności własnej obserwacji i ograniczonej możliwości przekazywania rzeczy, przez siebie widzianych, „sumienie“ historyka-obszrywatora, które w obliczu zadań wojennych nie przestawało pracować.

Dla obserwacji zajmowałem pozycję wyjątkowo korzystną i posiadałem warunki pracy ogromnie ułatwione. Jako szeregowiec, miałem dostęp do kolegów szeregowców. Żyłem, mieszkałem, jadałem, jak wszyscy. Te same kłopoty postojów i marszów wytrwarzają wspólną sferę zainteresowań, i otwierają dostęp do wnętrza ludzkiego, które raz otwarte pozostaje nim i wtedy, kiedy nie tylko życie codzienne, materialne — będzie przedmiotem rozmowy. Jako w pułku jeden z najstarszych, mogłem być powiernikiem trosk, choć nie byłem już bezpośrednim uczestnikiem rozrywek młodych towarzyszywów broni. — Obdarzony zaufaniem dowódcy, powołany zostałem na stanowisko pułkowego referenta oświatowego, zyskałem możliwość rozszerzenia pola obserwacji z tytułu swego obowiązku, wszedłem w stosunki ze wszystkimi oddziałami. Mimo braku szarzy traktowany przez oficerów po koleżeńsku, towarzyszyłem poszczególnym kompanjom w ich trudach marszowych i akcji, w ich pracach

i zabawach. Widziałem je w ogniu i podczas odpoczynku, poznawałem ich właściwości, przyzwyczajenia i nałogi, starałem się je zrozumieć i odczuć, i mam to przeświadczenie, że cel ten udało mi się osiągnąć. Każdy żołnierz ma ograniczoną sferę widzenia, i ja ją miałem w zasadzie ograniczoną, w każdym razie pole mego patrzenia rozszerzało się z jednego odcinka sekcyjnego na odcinek kompanji, baonu czy pułku, moja obserwacja i moja znajomość wypadków ogarnąć mogły bez porównania rozleglejszy horyzont. Od szeregu lat badając dzieje czasów napoleońskich, studiując źródła z tego okresu wojennego, listy, meldunki, raporty, pamiętniki, w pułku znalazłem żywe ludzkie dopełnienie tego, co wyczytałem w papierach starych. Zwracając się z serdecznym uczuciem do kolegów szedłem ku nim z głębokim zainteresowaniem, z pragnieniem wejrzenia w głąb ich dusz, jako ludzi, idących na śmierć za ojczyznę, jako cząstek wielkiej psychicznej całości, którą jest armja. Mam to przeświadczenie, że w głąb tej psychiki było mi danem wejrzeć.

Ten świat wewnętrzny żołnierza, z którym żyłem się całkowicie, i środowisko ludzkie, wśród którego miał on działać, staram się odtworzyć na kartach poniższych.

Nie są one wspomnieniami właściwemi woj-

skowo-wojennemi „cywila“, który na krótko wpadł nagle pośród żołnierzy, nie są zbiorem opisów zdarzeń i wypadków, poruszeń i akcji. Są próbą charakterystyki psychologicznej żołnierskiej, poza frontem nieznanej, która, mam wrażenie, za parę lat wydawać się będzie przyszłemu naszemu społeczeństwu pokojowemu tak samo egzotyczną, jak obecnie nienormalnym wydaje się stan bez wojny. — Rozumiem, że w charakterystyce dawałem się unieść sympatji i pewnej stronności na korzyść swych kolegów, na korzyść niektórych rodzajów służby w pułku, uważam jednak, że sympatja jest kluczem najlepszym, a może jedynym otwierającym dostęp do psychiki cudzej. A przecie nie wyklucza ona ostrości wzroku, raczej przeciwnie, widzianym obrazom nadaje koloryt odpowiednio ciepły.

Ten „ton“ serdeczny — to jedynie splecany przezemnie w sposób nader skromny dług wdzięczności, który zaciągnąłem wobec dowództwa, oficerów i zwłaszcza wobec szeregowców 5 p. p. Leg. w niezapomnianych dniach wspólnie przebytej ofensywy litewsko-białoruskiej.

NASI PRZECIWNICY.

I.

Po raz pierwszy zobaczyłem bolszewików na stacji kolejowej w Lublinie. Opuszczaliśmy dworzec warszawski w chwili dla stolicy najgroźniejszej, w momencie największego zbliżenia przeciwnika, z 14 na 15 sierpnia, a w parę dni, wypełnionych całkowicie drogą, znaleźliśmy się w obliczu dowodów żywych upadku wroga. Nie zapomnę nigdy pierwszego wrażenia, które odtąd umacniało się we mnie. Na dworcu lubelskim stała spędzona, jak gdyby w jeden kąt stłoczona, masa twarzy i płaszców szaropiaszczystych. Bezbardne, spłowiałe, nędzne i zatrwożone zwierzę ludzkie, wówczas jeszcze pełne strachu, wyczekiwania rzeczy najgorszych i niedowierzające, że to najgorsze już minęło, schodzące z drogi i potulne, ciemne i bezsilne, a zwłaszcza wygłodniałe, stworzenie, mówiące głosem ludzkim, a do człowieka niepodobne, takim był ów straszny prze-

ciwnik, widziany z bliska — w dniu jego klęski. Takim pozostał do końca *).

Taktyka naszego dowództwa polegała na tym, ażeby nawet wtedy, kiedy walk zdecydowanych, czy stanowczych nie było, demoralizować przeciwnika, nękać go i niszczyć moralnie, doprowadzając do stanu zdenerwowania zupełnego, które może się wkraść w szeregi nawet wojsk najlepszych. Przez nieustanne wypadły nocne, przez zdobywanie miast i wsi, które się nazajutrz opuszczało, by wciągnąć wroga z powrotem tam, gdzie był wczoraj i gdzie wypędzony jutro znowu będzie musiał się zjawić za dni kilka, przez wycieczki małych oddziałów na wysunięte placówki nieprzyjaciela dniem i nocą, dowództwo nasze stwarzało pod Grodnem stan niepewności stałej dla wroga. Żołnierz bolszewicki w każdej chwili liczył, że znajdzie się wojsko nasze przed nim,

*) W ciągu dwóch miesięcy pobytu mego na froncie, znajdowałem się w obliczu armji, działających tylko na północy: we wrześniu pod Grodnem, pod koniec tego miesiąca i w październiku pod Lidą i nad górnym Niemnem. W ciągu tego okresu pułk nasz miał do czynienia, o ile oprzeć się na własnej obserwacji i na obserwacji innych, znajomych mi żołnierzy, tylko z armjami z poboru. Komunistycznych oddziałów nie było, nie było zatym formacji ochotniczych, na których podobno opierała się cała siła nacisku bolszewickiego. Sąd więc mój z natury terenu jest ograniczonym. O charakterze bojowym przeciwnika nie mogę również wyrokować, zbyt skromne jest moje doświadczenie osobiste i moja wiedza wojskowa. Ograniczam się zatym tylko do wrażeń.

a może i za nim, — i nie był w stanie zdobyć się na jakiś odpór energiczny.

Z przeciwnikiem podobnie zdemoralizowanym mieliśmy do czynienia pod Lidą. Zachodziłszy go od strony północno wschodniej, gdzieś głęboko na jego tyłach, odcinając wojska już wycofane na Mołodeczno, Mińsk i Baranowicze od mas bolszewickich, spieszących z południo-zachodu, a pędzonych od Grodna przez inne grupy nasze. Wróg cofał się pod naciskiem naszej armji, spieszył, by wydostać się z matni, której istnienia się spodziewał, i znajdował przed sobą zaporę. Bronił się, albo raczej przebijał, lecz w masach swych żołnierskich nie wierzył w możliwość powodzenia. Psychicznie już był zwyciężony, i siedł tylko pod naciskiem rozkazu.

Wreszcie i w fazie ostatniej, w okresie pościgu za cofającym się na południe przeciwnikiem, który, jak pisano, miał się umocnić nad górnym Niemnem, a który naprawdę niszczył przeprawy przez Niemen, Serwecz, Uszę, Dzitwę i wszelkie wogóle strumyki, wojska nasze tuż tuż nacierały na bolszewików, goniąc im po piętach, chwytając ich oddziały tylne, zamykając odwrót zabłądzonym, rozbijając panczerki i t. p. Wróg cofał się spokojnie, bez paniki, broniąc się i osłaniając swe tyły, wydobył znaczne części swych taborów, nie poddał się ucieczce bezładnej, trzymał zatem swego żołnierza jeszcze mocno, lecz żołnierzowi temu nie mógł wlać w duszę wiary w możliwość oporu.

Sytuacja jeszcze się pogorszyła od chwili rozpoczęcia rokowań w Rydze: żołnierz bolszewicki czekał wieści o rozejmie z drżeniem, zapowiadał codziennie zahamowanie działań wojennych i trzymał się tylko przeświadczeniem, że jeszcze parę dni wysiłku, a wszystko się skończy. Taki żołnierz już oczywiście przeciwnikiem nie był.

Demoralizacja wszczepiona przez naszą taktykę pod Grodnem dała rychło swoje owoce. Żołnierz bolszewicki źle wyćwiczony i świeżo spędzony z różnych części Rosji nie wystawiał posterunków i nie umiał bronić się przeciw nocnym napadom. Początkowo opierał się, wyzyskując czasem położenie geograficzne, zajmowane przez siebie wzgórza, dominujące nad nizinnymi mokradłami i terenami błotnistymi, przez które musieli brnąć ku nim żołnierze nasi. Później opór słabł: jedno hura! naszych oddziałów, zjawiających się w pobliżu stodół, które zajmowały bataliony bolszewickie, wymiana pojedynczych strzałów i cała „rota“ szła do niewoli, rzucając „wintowki“.

Walka pod Lidą była cięższa. Rosjanie szli wielką masą i usiłowali samą masą przedostać się przez stawianą im przeszkodę. Odcinając im odwrót, wojska nasze były same odcięte i z prawej i z lewej strony od łączności z innymi grupami, wisiały jak gdyby w powietrzu, mając i za sobą i przed sobą wroga. Nie dochodząc do Lidy już starły się z poszczególnymi oddziałami bolszewi-

ków, które po krótkiej walce składały broń. Lide zajęły po ciężkim boju, spychając nieprzyjaciela w kierunku jego punktu wyjścia. A po zajęciu miasta wytrzymać musiały przez pierwszą połowę nocy, do końca 28 września, nieustanne ataki i kanonadę armatnią bolszewików. Przekonawszy się o niemożności przełamania oporu, wróg od północy (29-go) przestał atakować, przestał wierzyć w możliwość walki. Żołnierze jego rzucali broń. Byli złamani, zaczęli się masowo poddawać. Bitwa się skończyła. Setki, potem tysiące jeńców płynęły do miasta. Poranne słońce, z trudem przebijające opalowe, już jesienne mgły, oświetlało dziwnym światłem wielki podwórzec zamku Gedymina, wypełniony tym samym szarym tłumem jeńców, których widziałem poraz pierwszy w Lublinie. A tymczasem, szły coraz to nowe rzesze jeńców, szły bez końca przez cały ranek i południe, dnia 29, szły wciąż, wlewając się we wewnętrzne zamku twórcy potęgi litewskiej, nawet wtedy, kiedy zerwani rozkazem dowództwa ruszaliśmy dalej w kierunku południowo-wschodnim, w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem.

I tu poraz pierwszy natknęliśmy się na prawdziwego przeciwnika. Cofając się z żołnierzem rozbitym moralnie, bolszewicy nie wypuszczali z rąk swoich inicjatywy obrony, niszczyli mosty, wstrzymywali nacisk, mocno gryźli nadciągające wojska nasze, stopniowo słabnąc w oporze, w miarę posuwania się naprzód. Pierwszego za-

raz dnia spotkali nas nadciągających na Sielce mocnym ogniem maszynek i kartaczami, któremi w ciągu kilku godzin zasypywali wycelowany wprost na zerwane przez nich mosty trakt i skracającą wzdłuż Niemna w tym miejscu ulicę główną miasteczka, zajmowanego przez nas w nocy. Wycofali w ciągu doby ubiegłej swoje siły, które podobno trzema szeregami waliły i od Bielicy i od Lidy przez kilka dni z rzędu, wysadzili w powietrze mosty, zbudowane w ostatnich czasach z wielkim nakładem pracy — żelazny most kolejowy był jeszcze przez nas wysadzony za poprzedniego odwrotu — i opóźnili nasz pościg co najmniej o godz. 12.

Drugim ciężkim momentem było forsowanie przejścia przez Serwecz, równocześnie dokonywane w miejscu głównym wprost Korelicz przez 1 p. p. Leg., na lewo wprost Krasnego Siela przez 1/5 p. p. Leg. Zajmując dawne okopy jeszcze z czasów wojny niemieckiej, pustoszyli bolszewicy nadciągające kompanie dzielnego I pułku. Następnie cofając się skutkiem równoległego oskrzydlenia z prawej strony i z lewej, gdzie mimo dojmującego zimna, i ostrego wiatru, I baon naszego pułku, zrzucawszy ubranie nago pod ogniem przeciwnika zdobywał rzekę, znaczyli powolny swój odwrót dziesiątkami rannych i zabitych, naszych i swoich, oraz setkami jeńców, pozostawionych w naszym ręku. Tamże zniszczyli osobliwy w tym miejscu most na Serweczu. Długa kilku-

wiorstowa tama pomiędzy moczarami, zakończona szerokimi i długimi mostami po obu końcach na dwu korytach rozlewających się w błotnistą dolinę — miała obecnie zniszczone częściowo oba dostępy. Od Korelicz most był zerwany po stronie bolszewickiej, na drugim końcu tamy pomiędzy nią a mostem otwierała się przepaść niezbyt zresztą głęboka.

Rzucona obok mostu kładka z jednej deski, pozwoliła wojskom naszym po kilkugodzinnej przerwie pospieszyć za nieprzyjacielem i w porę dogonić go nad Uszą. Krótka stanowcza walka poprowadzona przez karabiny maszynowe 1/5 p. p. Leg. na wzgórzach, dominujących nad rzeką, potem uderzenie na most i bohaterski czyn ppor. Liszki, wyciągającego lont palący się, uratowały przejście i pozwoliły wojskom naszym dostać się dnia tego po marszu forsownym do Miru.

Nazajutrz—mieliśmy zająć przeprawę przez Niemen pod Mikołajowszczyzną. Po drodze wspaśniały pojedynek pomiędzy naszą artylerją polową, ustawioną na wzgórzach wiodących do linii kolejowej i na samym torze szlaku Mińsk-Baranowicze, a pancerką, trafioną za trzecim strzałem, rozbijającym jej parowóz. Obsada jej mimo to ostrzeliwała naszą pozycję i nadciągające oddziały piechoty, zdążyła w powietrze wysadzić wozy z amunicją i całkowicie wycofała się z pociągu. Przeprawę pod Mikołajowszczyzną zajęliśmy; nieprzyjaciół jednakże zdążył się i tu wydobyć, zosta-

wiając zaledwie kilkuset jeńców w naszych rękach.

Wreszcie ostatni łup — już po podpisaniu preliminarzy pokojowych—„zafasowany“ w drodze z pod Turca do Radoszkowic i Zabrzezia, cały pułk bolszewicki, tym razem już niezdolny do oporu i wysiłków, jak poprzednio. Żołnierz bolszewicki skończył swoje zadanie, z chwilą, kiedy dowiedział się, iż rozejm podpisano,—do momentu wejścia w życie rozejmu na posterunku trwać nie umiał.

Dla całego owego okresu walk jesiennych, przygrywki pod Grodnem i naszej ofensywy, zaczętej 15 września, a zakończonej ustaleniem się linii rozejmowej, symptomatycznym specyficznym zjawiskiem będzie nie bolszewik — walczący, lecz jeniec bolszewicki, liczący się na setki, dochodzące do tysięcy w pierwszym okresie, liczący się na tysiące i dziesiątki tysięcy pod Lidą i znowu w nieustannie rosnących setkach brany w fazie trzeciej. To też myśląc o bolszewikach dzisiaj, widzę zawsze owe niekończące się sznury coraz to nędzniejszych postaci od pierwszego zetknięcia w gorący dzień sierpniowy, aż do ostatniego spotkania w smutny wieczór zimowy w Lidzie: szli drogą dworcową, zziębnięci, zawinięci w swe szmaty, bezbronni, deptali błoto coraz czarniejsze, zasypywani gęstymi płatami śniegu, który nie bielił, lecz jeszcze bardziej szarzył ich postacie zszarzałe.

Widziałem ich bardzo wielu, rozmawiałem z wielu — spotykałem wyłącznie poborowych i wśród szeregowców i wśród szarż, pochodzących ze wszystkich stron, z Syberji, z północy, z Litwy, z Wołynia i Ukrainy. Brakło tam zupełnie żywiołu ochotniczego i elementów centralnowielkorosyjskich. Przeważali obcy: Białorusini i Ukraińcy na pierwszym miejscu, potym szli różni kresowcy — z Kaukazu np., dawni oficerowie Kołczaka i Denikina, dziś napółdobrowolnie, napółprzymusowo wciągnięci do służby, Kozacy i Lezgini, całe owo etnograficzne muzeum, nad którym po dawnemu pragną panować ci z centrum Rosji. Komunisty nie spotkałem ani jednego.

Nastrój żołnierza w niewoli musi być zawsze ciężki: nawet człowiek, walczący za cudzą sprawę, lecz człowiek z godnością — przez niewolę czuje się w swej godności upokorzonym. Inaczej wyglądał jeniec bolszewicki: z wyjątkiem Ukraińców, wszyscy inni pozbawieni szczypty osobistej godności, płaszczyli się i w podłości nawzajem siebie prześcigali. Każdy z nich „zaiskiwał i podliaczał“, mówiąc ich językiem, każdy zapewniał o tym, że siłą go wzięli do wojska, że on wojny nie chciał, że umyślnie się poddał i t. p. Może w tym i była prawda, lecz ta szczerość, nieraz cyniczna — miast współczucia, które wywołać pragnął ten urodzony „rab“ w człowieku wolnym, wywoływać musiała tylko pogardę. Nie zapomnę

wrażenia, jakie odniosłem w Białymstoku, jeszcze w sierpniu. Wojska nasze przed paru dopiero dniami zajęły miasto, walki odbywały się jeszcze w jego promieniu. Któregoś dnia sprowadzono na dworzec, gdzie na rampie stały w równym szeregu zdobyte połówki rosyjskie, artylerję bolszewicką, zagarniętą świeżo przez kawalerję naszą pod Sokółką. Od miasta zajeżdżała w pełnej uprząży z nietkniętą amunicją, powożona przez własną obsadę baterja nieprzyjacielska: zajechała i ustawiła się w szeregu dział już tam stojących. A żołnierz rosyjski z najzimniejszą krwią zaczął upewniać, śmiejąc się w swej szczerości, że ma dosyć wojny i nie chce się dawać ani głodzić, ani zabijać. Rozumiałem pożytek tego nastroju dla nas, jako Polak; jako człowiek, chciałem plunąć w pysk temu niewolnikowi.

Niewolnikiem bowiem był on i w niewoli i na wolności. Z chwilą kiedy się dostał do nas, nie znajdował słów nienawiści przeciwko bolszewikom i żydom. A z tych jego ostrych wystąpień przeciw komunistom wyzierał nie tylko lęk przed nami, wyzierał nieprzeparty strach przed własnym komisarzem. Jeden bezbronny człowiek, komisarz, trzymał w garści cały pułk — i jego dowództwo i jego podkomendnych. Wszystko przed nim drżało: on kierował z poza pleców pułkownika, on rządził wszystkim. Nikt nie śmiał mu się przeciwieć. Na zapytanie, czemu pozwalacie się teroryzować pojedynczym ludziom, jeżeli

są wszyscy waszych poglądów, jeżeli posiadacie broń, jeżeli was głodzą i posyłają na śmierć, jeżeli komisarze dbają tylko o siebie, otrzymałem bardzo charakterystyczną odpowiedź. „Jakże możemy się zbuntować, przecież jeżeli zabijemy naszego komisarza, to oni — nie wiadomo tylko o kogo chodzi — to oni zemszczą się na naszych rodzinach, to oni zabiorą nam ziemię i t. d.“. Strachem niewolników niezdolnych do oporu, i zdecydowaniem przywódców, gotowych do wszelkiego gwałtu, trzyma się cała armja i cały system państwa carów czerwonych. Nie terror faktyczny, lecz terror psychiczny jest więzią nowego ustroju, który pod względem istoty swojej spójni, odziedziczony po szeregu stuleci, jest spadkobiercą bezpośrednim dawnego.

Jakim był prawdziwy stosunek bolszewików do nas, określić nie mogę. Szli oni wszyscy „w Aarszawu“. Tam miał być koniec udręki wojсковей i niedojadania, tam miał być chleb, cukier i kobiety. Powodzenia ich, mimo pewnego zapału, trochę dziwiły ich samych. Późniejsza klęska wydawała im się zupełnie naturalną. Bali się „pańskiego“ wojska, przedewszystkiem dla tych wszystkich okropności, które u nich rozpuszczano o postępowaniu naszym z jeńcami. Łagodności żołnierza naszego dziwili się bardzo i mimo niewoli przyznawali się do niesłychanych łotrstw, dokonywanych na jeńcach przez siebie wziętych, zresztą całą odpowiedzialność za ten sadyzm zwa-

lając na swoich komisarzy. Stopniowo, wśród bolszewików utrzymywało się przeświadczenie, że niewola u nas to ratunek dla pragnących utrzymać się przy życiu. Nasza propaganda robiła swoje. „Propusk w plen“, wyrzucany przez nasze aeroplany, zapewniający bezpieczeństwo tym, którzy w ciągu dni 10 oddadzą się do niewoli, działał magicznie: chowali go skrzętnie i okazywali z chwilą pochwylenia przez patrole nasze. Pod koniec wiedzieli również, że kto się sam oddaje do niewoli, podlega innym warunkom, niż zwykły jeńiec, i domagali się, aby notowano ten szczegół w ich papierach ewidencyjnych. Byli wśród nich i tacy, którzy naprawdę pragnęli dostać się do nas, uważając niewolę za etap, prowadzący do Wrangla. — Czystej krwi czarna sotnia, doskonali oficerowie w walce z nami w okresie ofensywy, z chwilą załamania się szczęścia wojennego przechodzili na naszą stronę, licząc na solidarność „białych ideałów“. Zarówno oni, mimo niezaprzeczanej dzielności bojowej osobistej, jak i szary tłum nędzarzy rosyjskich, którzy bali się wojny, jak piekła, posiadali jedną wspólną cechę, którą gotowem nazwać narodową: zupełny brak charakteru, tak jaskrawo odbijający od tego, co wiemy o przywódcach bolszewizmu, jedynych w Rosji ludziach o fizjonomji zdecydowanej, wikingach-przybyszach, dziś jak przed wiekami, na przemoc opierających swą władzę nad bezsilną a obcą im Rosją.

II.

Pod Kuźnicą, Augustowem czy Sejnam, w Lidzkim, Nowogródzkim lub nawet Mińskim mieliśmy do czynienia z ludnością życzliwą, obcą białoruską lub własną, nieraz po bohatersku oddaną, jak zwłaszcza na pograniczu litewskim, i po miasteczkach. Ludność nieprzyjacielską poznaliśmy na poł. wschód od Sejn w kierunku Druskiennik i na wschód od Niemna mniej więcej poza Szumy.

„Ludność nieprzyjacielska“ — to jednak nie jest określenie właściwe, raczej ludność mówiąca językiem niezrozumiałym, językiem nieprzyjaciela, w którego obliczu znaleźliśmy się całkiem niespodzianie i dla niego i dla nas na brzegu Czarnej Hańczy.

Manewrującemu w ciągu długich godzin wzdłuż nieprzebytych lasów, pokrywających jedną zwartą masą całą przestrzeń na obu brzegach Niemna, przedzierającemu się przez gęstwinę drzew, które schodzą wprost nad przepyszne jeziora, nasuwało się porównanie, narzucało sformułowanie, które kiedyś powstało w myśli mojej po zwiedzeniu Muzeum Czartoryskich. „Jakże bogatą jest i ta kultura polska, i ta ziemia polska, jeżeli po przejściu tych wszystkich, którzy ją trzebili od wieku, pozostało tyle wspaniałości“.

Wsie litewskie, położone na tym pograniczu polskim i białoruskim, nawet od właściwego rdze-

nia litewskiego oderwane, raczej wyspy, czy forpocztę litewskie, w obcym leżące środowisku toną w sędziwych, a mocnych lasach. Przypomina się mićkiewiczowskie:

Drzewa moje ojczyste, jeśli niebo zdarzy

Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy —

Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

Utopione w gęstwinie leśnej, oderwane od macierzy litewskiej, przejście od Litwy właściwej do Polski, są owe wsie ukraińskie i w typie swoim i w charakterze ludności przez to bardziej może litewskie niż sama Litwa, cecha, która w sposób podobny wyróżnia wszelkie kresowe wsie polskie ich polskością ostro zarysowaną, jaskrawą.

Wsie mroczne, długie, zagęszczone, ciągnące się podwójnym szeregiem zapadających się omszałych chałup wzdłuż biegnącej przez nie drogi, krzyże stare, napół spróchniałe, ule za ulami — oto wrażenie zewnętrzne. Czasem podwórze rozjaśnione świeżymi lśniącoymi kwiatami, czasem nowa chałupa — jasna plama na zwykłym tle wido-ku wsi litewskiej. Mężczyzn mało, nie widać ich prawie. Drzwi chałup i wrota stodół szczelnie zamknięte: czuć za niemi ukryte życie, odwracające się od wojsk maszerujących. Zrzadka tylko przesunie się między domami cicha postać kobiety, która na wszelkie pytania ma jedno stereotypowe: „ne supranto“.

A jeżeli zajrzysz do chałupy, jeżeli znajdziesz w niej mieszkańców, jeżeli zagadasz po ludzku,

poprosisz o chleb, o mleko, o wodę nawet, spojrzaj na ciebie z podejścia oczy nieufne, jedyne jasne plamy na brudnym tle wnętrza i niesłuchanie brudnej twarzy i padną te same słowa: „nie rozumiem“.

Chłop litewski chytry i niechętny zamknął się w zbroi swego języka, osłonił puklerzem rzeczywistości czy udanej nieznajomości polszczyzny i z całą konsekwencją, jak gdyby na rozkaz, wszędzie uprawiał ten system oporu biernego. Nie można się dowiedzieć nazwy wsi, nie można wydobyć odległości, nie można rozgadzać się. Z rzadka tylko, opierając się, odpowiadał chłop, kobiety milczały zawsze, zacisnąwszy usta, z których niedawno jeszcze wylatywało napewno jakieś przekleństwo, w naszą wymierzone stronę. Nie ustrzegł się Litwin obowiązku podwód, nie unikał konieczności przeprowadzenia oddziału, który tego od niego zażądał, czynił to jednak z takim wyrazem twarzy, z taką zaciętością w oczach i ustach, że choć nic nie mówił, nie trudno było wyczuć, co myślał.

Czy jednak był po stronie Litwy, czy zdawał sobie sprawę, skąd się wzięła wojna i o co się toczy, czy pojmował choćby z gruba istotę zatargu, trudno odpowiedzieć. To pewna, że z całą jasnością ujmował tragizm sytuacji, który walką bratobójczą rozerwał nagle na dwa obozy wrogie — dwa narody, odwiecznie ze sobą związane. Pamiętną mi będzie rozmowa z chłopem litewskim w Ogrodnikach. Mówił mi, że on mieszka tu

w Ogrodnikach, a jego szwagier tam w Bereźnikach, tu jest, mówił, teraz Litwa, a tam Polska. Dawniej to było jedno, a teraz między Bereźnikami i Ogrodnikami ciągnie się granica; jest wojna. Czy to tak być powinno, czy to nie do jednego kościoła chodzimy, czy to nie jest klęską, że bracia są podzieleni i walczą?

Myśmy zresztą w kraju tym z Litwą nie walczyli, walka miała się rozegrać na ziemi czysto polskiej, do której Litwini rościli sobie pretensje. Bój o defilé między jeziorami Geret i Pomorze, zdobycie szosy prowadzącej przez wieś Giby i pospieszny marsz na Sejny, gdzie zeszły się dwie grupy Knoll-Kownackiego i Popowicza, zamykające w saku znaczną grupę litewską, rozbitą i pod wieczór zupełnie już zdemoralizowaną, i biorące kilka tysięcy jeńców, z artylerją ciężką i polową, oto jedyna, krótka, a decydująca bitwa, w której mieliśmy poznać Litwinów. Jeszcze pod Kuźnicą słyszeliśmy, że Litwini są w Lipsku, że podobno są w Grodnie i że tam działają, jako sojusznicy bolszewików. Jeńcy bolszewiccy opowiadali o nich często, sprzecznie i rozmaicie. Pierwsze zetknięcie z nimi nastąpiło 19 września ¹⁾, od chwili oparcia się naszego o Czarną Hańczę. Słyszeliśmy, że są podobno doskonale uzbrojeni, że mają aeropla-

¹⁾ O tym, że rokowania z Litwinami z ich winy zostały 18-go zerwane, nie wiedzieliśmy oczywiście, patrz naszą „Księgę amarantową” 1920, 78 protokół konferencji 18 września i deklarację delegacji polskiej, anneks II, s. 79—80.

ny, samochody pancerne, że czynią wywiady. Zaczynaliśmy wszelkie środki ostrożności: konie, tabory, artylerja zostały pochowane w lasach, ludzie rozstawieni tak, by uniknąć obserwacji. Niezbyt głębokie wywiady nasze pozwoliły określić ich pozycje pod Gibami i wymacać ich system obrony. Placówki były wszędzie rozstawiane, bardzo czujne i mocno nerwowe. Linje obronne, okopy były przeciągnięte i obsadzone. Czujność i nerwowość i tu były widoczne. Zaczęły dochodzić głosy, że okopy ich są gruntownie przygotowane, że są otoczone drutem kolczastym według systemu wielkiej wojny i że nawet mają druty z elektrycznością, przez nie przepływającą.

W walce i po walce przekonaliśmy się o słuszności częściowej informacji otrzymanych. Manifestacyjny atak z naszej strony miał być dokonany w samo południe 22 września ¹⁾), wprost na defile od szosy; po obu stronach jeziora i poza jeziorami, dalej na prawo i na lewo posuwały się spychające nieustannie wroga większe oddziały nasze. Litwini, zasłonięci placówkami wysuniętymi naprzód, wysuwaniem i o jakie dwie wiorsty, które ściągnięto, byli ukryci za rowami, z przejściami głębokimi i ziemiankami na karabiny maszynowe, które otaczały płoty z drutu kolczastego. Rów ciągnął

¹⁾ Patrz tamże, 85 № 51 — nota rządu polskiego do Ligi narodów 21 września i telegram ks. Sapiehy do min. Purickisa, 22 września 86 № 53: „nos autorités militaires ont décidé de prendre des mesures efficaces”.

się w poprzek całego przejścia, zaczynając się na lewo nad samym jeziorem Geret. Za rowem, jako najbliższe ubezpieczenie, ciągnęły się mury cmentarza, na którym również wykopane były umocnienia osłonięte dla karabinów maszynowych. Za pierwszą linią szła na wzgórzach druga linja rowów, zbudowana analogicznie.

Podchodzących Litwini w pierwszej chwili nie dostrzegli. Podsuwające się oddziały nasze zdradziła dopiero ucieczka kobiet, pracujących w polu przed wsią, które widząc jakiś ruch na szosie z krzykiem porzuciły robotę. Momentalnie rozpoczął się ogień ostry i celny krzyżowy z karabinów maszynowych, wymierzony na 11 komp. 5 p. p. Leg., która w tym miejscu atakowała na wprost. Za karabinami maszynowymi poszły zwykle karabiny, po chwili odezwały się armaty litewskie. Zaczęto ostrzeliwać szosę, mierząc zdaleka, obrzucając szrapnelami nie tyle najbliższe fale, ile raczej wałąc w drogę, po której, jak się słusznie spodziewali, posuwać się musiały posiłki dla atakujących. Strzelali celnie, trafiając wprost w drogę, choć nie w grupy, które szły szosą.

Ustawiona z prawej strony, od Zelwy artylerja nasza poczęła ostro odpowiadać. Po obu stronach bataljony I i II/5 p.p. Leg. posuwały się naprzód. Atakująca kompanja z wielkimi stratami swemi łamała w tyraljerze przeciwnika, zdobywając po dłuższym boju pierwszą linię obronną Litwinów, biorąc paruset jeńców i zmuszając do

odwrotu przeciwnika, który cofając się jeszcze strzelał szrapnelami poza Giby na szosę, którądy iść musiały tabory nasze. Po przełamaniu rozpoczął się pościg. W Sejnach zetknęły się wszystkie walczące pułki, zaczęło się sprowadzanie jeńców, trwające do późna w nocy, które dało łup kilkuty-sięczny.

Pierwszych kilkunastu jeńców mieliśmy jeszcze podczas wypadów nad Czarną Hańczę, teraz liczba ich wzrosła. Wygląd zewnętrzny i wrażenie ogólne było jednakowe i wtedy i teraz. Litwin doskonale umundurowany, świeżutki, kompletnie wyposażony miał dobrą minę i pewną nawet hardość w noszeniu się, wyglądzie i sposobie odpowiadania. Większość mówiła po polsku, niektórzy po polsku nie rozumieli, a byli i tacy, którzy udawali, że znają tylko swój język litewski. Badani dawali wyjaśnienia z godnością, bez owej uniżoności i upodlenia, tak charakterystycznego dla bolszewików, których byli prawdziwym kontrastem. Nie byli rozbici moralnie, byli zwyciężeni i dość obojętni na los, który ich czekał. Przeważnie chłopcy bardzo młodzi spokojnie przyjmowali wszystko, co ich spotykało, nie okazując ani strachu, ani nienawiści, po prostu przystosowywali się do sytuacji zmienionej.

Zapytałem po bitwie oficerów naszych o ich opinię co do armii litewskiej. Prawie wszyscy zgadzali się na jedno. Wojsko litewskie, mające zresztą u siebie według naszych informacji conaj-

mniej 40% Polaków, i z poborowych i z żołnierzy zmobilizowanych dawniejszych, z wielu swych właściwości było zbliżone do naszego. Uzbrojone doskonale i kompletnie przyodziane w mundury angielsko-amerykańskie nawet pod względem wyglądu zewnętrznego mało różniło się od naszego: żółty lampas na czapce upodabniał ich do naszej kawalerji, jedyna różnica — to na miejscu orzełka kokarda z pogonią litewską. Wojsko to dobrze wyćwiczone, wydyscyplinowane składało się z żywiołu równego i moralnie solidnego, a z żołnierza młodego nie tylko wiekiem. Jako wojsko młode posiadało wszystkie wady tego rodzaju formacji. Nerwowe — dawało się łatwo peszyć: nadmierna czujność i wrażliwość były źródłem łatwych alarmów, wpędzały żołnierzy w nastroje, których ono jeszcze nie umiało opanować. W zasadzie odważne i pewne, nie było jeszcze w stanie stawiać czoła zwłaszcza świetnym naszym pułkom legjonowym. Choć po rozbiciu uległo demoralizacji i zaczęło się rozpraszać na części, nie mające między sobą czucia, a zatym poddające się łatwo, było zdaniem wszystkich materiałem na żołnierza doskonałego.

Kłeska jednak zrobiła swoje. Przed Drusienikami, a zwłaszcza za Niemnem zaczęliśmy spotykać oddziały, zupełnie rozsypane, , błądzące po lasach i poszukujące takich jednostek u nas, któreby wzięły ich do niewoli. Przypominały się chwile z czasów klęski bolszewickiej, kiedy to do

jednego z telefonistów zgłosiło się kilkunastu wygłodniałych bolszewików na drodze, prosząc: „barin, woźmi w plen“. Jeden z naszych oddziałów łączności odbity od pułku, a liczący 18 żołnierzy, wziął wtedy gdzieś w lesie po wymianie strzałów obsługę karabinu maszynowego litewskiego wraz z maszynką i przyprowadził za swoim taborem. Zaczęli się zjawiać żołnierze litewscy, mówiąc, że ich własni oficerowie kazali im się poddawać, uprzednio rozpuściwszy ich pułk. Okazało się później, że ci sami oficerowie wraz z częścią swoich żołnierzy oddali się naszemu oddziałowi, a następnie wraz z nim walczyli przeciwko swoim sojusznikom — bolszewikom, z którymi mieli iść razem.

Stanowisko tych oficerów, ich stosunek do swego dowództwa i do samej wojny polsko-litewskiej jest bardzo charakterystyczny. Polacy, którzy służyli w wojsku rosyjskim, zostali rozkazem mobilizacyjnym włączeni do armji litewskiej. W polu sprawiali się dzielnie. Z chwilą rozbicia wojska pod Sejnami byli przekonani, iż przestała istnieć cała armja litewska. Uważali wszelkie dalsze ofiary za zbyteczne. Twierdzili i zapewniali, że znaczna część oficerów litewskich Litwinów jest przeciwna wojnie z Polską. Z sytuacji politycznej na Litwie nie zdawali sobie zupełnie sprawy. Z klęski litewskiej wyprowadzali daleko idące wnioski polityczne: w ich mniemaniu, skutkiem bitwy pod Sejnami miała być zasadnicza zmiana

systemu, powołanie do dowództwa ludzi, od władzy obecnie usuniętych, i oderwanie się Litwinów od sojuszu bolszewickiego. Wierzyli w rychłe porozumienie z Polską a obawiali się, że pójdziemy na Kowno, twierdząc, że z ich strony nie może być mowy o oporze, o obronie Kowna, lub Wilna, które niedawno przed tym zajęły ich wojska. Podobno większość korpusu oficerskiego stanowią ludzie, którzy z narodowością litewską mają niewiele wspólnego, Polacy lub Rosjanie.

Słyszeliśmy od ludności w Gibach, że Niemcy mieli przyjechać w samochodach na inspekcję okopów litewskich. Oficerowie - jeńcy jednakże przeciwko obecności Niemców w ich wojsku protestowali i twierdzili, że udział ich ograniczał się do początkowej fazy instruowania tworzącego się wojska litewskiego.

Czy to w poczuciu wspólności narodowej, czy też w poczuciu równości osobistej oficerowie litewscy zachowywali się w niewoli zgoła inaczej, niż dowódcy bolszewicy, i całkiem też inaczej od tamtych byli u nas traktowani.

III.

Dochodzę tu do istotnej sprawy stosunku naszego żołnierza do przeciwnika i jego poglądów na wroga.

O ile chodzi o Rosję, żołnierz ma dwie zupełnie różne sfery odczuwania i ujmowania zja-

wisk. Z jednej strony — bolszewicy, przywódcy i kierownicy Rosji dzisiejszej, z drugiej armja rosyjska i jej żołnierz.

Całe patriotyczne napięcie energii naszego żołnierza skupiało się przeciwko bolszewikowi. On dzisiaj był uosobieniem wojny, z której żołnierz polski wyrósł, w której się wychował, lecz której już miał dosyć. Bolszewik, system bolszewicki był dla żołnierza naszego symbolem wysiłków, wymierzonych przeciw Polsce, zamachów na jej całość i niepodległość, a po ostatniej ofensywie był groźbą przeciwko samemu jej bytowi. Walka z bolszewikami — to walka elementarna, odwieczna walka polsko-rosyjska, zlokalizowana obecnie w postaciach komunistów, armji Budienego, i komisarzów przy armjach. Nie widząc starej Rosji, a nie znając nowej, mając przed sobą agitację podwójną, rosyjską bolszewicką i naszą przeciwbolszewicką, znał żołnierz nasz jedno dla Polski niebezpieczeństwo, które pojmował, jako bolszewizm. Dla niego „bolszewizm“ nie zawierał w sobie żadnych pierwiastków społecznych, ani tymbardziej międzynarodowych. Był to system rządzenia Rosją, wymierzony przeciwko Polsce, oparty o komisarzy, o ile chodzi o sfery kierownicze, o komunistów i chińczyków, o ile chodzi o elementy czynu. Był to zatym system przedewszystkiem przeciwpolski, którego właściwości zaznaczają się represjami nie tylko w Rosji samej, lecz i wszędzie na kresach dawnej Rzplitej,

gdzie działały armje rosyjskie. Był to system par excellence rosyjski, oparty o solidarność dwu naszych wrogów, Niemiec i sfer rządzących w Moskwie. Co więcej, był to system nawskroś militarystyczny, a jako taki źródło wiecznego jątrzenia i wojen wiecznych.

Rząd dzisiejszej Rosji wydawał się żołnierzowi naszemu źródłem wojny bez konca, był więc według niego nie tylko uosobieniem niebezpieczeństwa dla Polski, lecz i winowajcą osobistych niekończących się jego trudów wojennych, był nieprzyjacielem żołnierza narodowym i osobistym. Takim też będzie zasadniczy i praktyczny stosunek naszego wojska do wojny obecnej. Przy propagandzie, czy bez propagandy, żołnierz nasz widzi w bolszewizmie, jako rządzie Rosji, bolszewikach w wojsku, zatym komunistach, chińczykach i komisarzach — swoich osobistych śmiertelnych wrogów. To też prowadził i z rządem Rosji, i z jego podporami walkę bezwzględną. Tu tkwiło źródło nieustannie odradzającej się gotowości do ofiar i poświęcenia w czasach najgorszych odwrotu lipcowego, w momentach niekiedy naprawdę krytycznych, tu mieści się również wytłumaczenie nienawiści bezlitosnej dla komisarzy—żydów, dla czerwonej gwardji, a zwłaszcza dla chińczyków. Męstwo osobiste komunistów, i niesłychana, wprost żywiołowa jakaś wytrzymałość chińczyków nie rodziły uznania tak zwykłego w podobnych sytuacjach w stosunku mię-

dzy przeciwnikami równymi, lecz budziły zacięłość ślepą, chłopską i mściwość bez opamiętania, uczucia, które udzielały się od żołnierzy i oficerom. Pod tym względem nastrój był zupełnie jednolity. Wielokrotnie raniony celnik jeszcze się zrywał do walki. Nasz żołnierz, leżący obok ранnego komunisty, czołgał się, krwawiąc drogę, do karabinu, by dobić wroga. Trzeba było używać niesłychanych perswazji, najczęściej podstępny, by uratować jeńca-chińczyka. Komisarzy żywych nasi nie brali zupełnie.

Natomiast, innym był stosunek do przeciętnego szeregowca bolszewickiego, a nawet i do oficera, najczęściej ochotnika w armji bolszewickiej, dawnego „dobrowolca“ od Kołczaka i Denikina. Żołnierze nasi lekceważyli tę armję źle ubraną i źle uzbrojoną, a podszytą tchórzem, pogardzali nią i pewni byli zawsze zwycięstwa w razie spotkania. Niewoli u bolszewików lękali się jednak bardzo: bolszewicy obdzierali naszych ze wszystkiego do koszuli włącznie, i obchodzili się z nimi w sposób uwłaczający wszelkim elementarnym wymaganiom ludzkości. O krwawej niewoli obiegały w wojsku wieści najgorsze. To też pierwszym wysiłkiem każdego było wydostać się stamtąd; ucieczka nie była zbyt trudna, wobec słabego dozoru, nieustannego cofania się przeciwnika, i nadziei na pomoc i opiekę ludności miejscowej. Żołnierze nasi nieraz po parę tygodni ukrywali się u chłopów, ażeby powrócić do swo-

ich oddziałów, przyprowadzając, jak to było po Lidzie, jeńców bolszewickich.

Z chwilą wzięcia bolszewików do niewoli stosunek do nich się zmieniał. „Zamieniano“ z nimi wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, lecz naogół postępowano z nimi dobrze. Żołnierz nasz nie przestawał odnosić się pogardliwie do Moskala, okazywał mu jednak jakąś pobłażliwość, traktując go, jako coś biednego, zasługującego na litość, której mu nie odmawiał, lecz odnosząc się doń, jako do istoty niższej. Człowiek, który jadał ziemniaki na surowo, nie był człowiekiem zupełnym — i nie mógł, zwłaszcza w niewoli, rościć pretensji do uznawania swego „człowieczeństwa“. Zresztą on takich pretensji nie wysuwał; był naogół wdzięczny za wszystko, co otrzymywał z rąk żołnierza naszego, a co przeważnie nie ustępowało zwykłemu jego zaprowiantowaniu z czasów pobytu w armji własnej.

Całkiem inny był stosunek do Litwy i Litwinów, a wojna z nimi spadła na nasz pułk nieoczekiwanie. O ile chodzi o Litwę, istnieje jeden punkt, na którym każdy żołnierz 5 pułku jest nieprzejednany: jest nim sprawa Wilna. Żołnierz nasz jest szczególnie do Wilna przywiązany. Trudno wyjaśnić źródła tej miłości: wspomnienie wiosennego wysiłku, który dał wspaniały tryumf nad wrogiem, entuzjazm ludności wyzwolonej z pod jarzma obcego, nieklamana szczerza i stale okazywana żołnierzom miłość sprawiły, że odtąd dla

każdego piąta Wilno stało się symbolem wszelkiego dobrego w życiu. Myśl, że Wilno może być od Polski odcięte, jest dla żołnierza naszego nieznośna. Dla odbicia ponownego tego miasta gotów on był do wszelkich ofiar. Po bitwie pod Sejnam panował lęk, że pójdziemy na Kowno, a tymczasem wszyscy chcieli iść na Wilno i liczyli, że droga poprowadzi przez Lidę; przecież przez Lidę szła ona poprzednio w r. 1919. Kiedy po kilku dniach marszu okazało się, że idziemy istotnie na Lidę, serca wszystkich zabiły żywiej: istniała pewność, że teraz Wilno nas nie minie. A kiedy z Lidy pchnięto nas na południe, radość ustąpiła miejsca smutkowi, lecz pocieszano się zarazem, iż najpewniej dywizja ochotnicza poszła nad Wilejkę. Na punkcie Wilna żołnierz nasz nie uznaje możliwości jakiegokolwiek dyskusji. Innych punktów spornych z Litwą nie zna. Ma natomiast do rządu litewskiego głęboki żal za „zdradę“, popełnioną jesienią tego roku, za ten przygotowany w porozumieniu z bolszewikami sztych w plecy, który mógł być dla armji naszej śmiertelny. Nie licząc na spotkanie i nie spodziewając się go zupełnie, chętnie gotów był żołnierz nasz stanąć do walki, by ukarać Litwę za jej postępowanie zdradzieckie, by również pomścić ciężką niewolę, w jakiej znajdowali się ci z naszych żołnierzy, którzy przypadkiem dostali się do rąk litewskich w chwili pełnienia służby na linii demarkacyjnej lub podczas odwrotu.

Pozatym wszystkim, istniał jeden jeszcze motyw, który zagrzewał żołnierzy do walki z Litwinami, motyw czysto osobisty, który zrozumieć można tylko w promieniu psychiki myśliwskiej. Jak prawdziwy myśliwy z wzruszeniem głębokim, a zarazem radością gorącą szykuje się do wyprawy na nieznanego mu dotąd zwierzę, tak zabierali się żołnierze nasi do walki z Litwą. Był to przeciwnik, którego jeszcze nie znali. Trochę pokpiwali z niego z góry, przecie to był „bażant”, świeżo do służby wciągnięty, i nie znający ognia. Trochę liczyli na jego świetne wyekwipowanie amerykańskie. Byli go w sumie bardzo ciekawi, choć nie mieli żadnej na niego zaciekłości. Ciekawość w pierwszym spotkaniu zaspokoili, pozostał stosunek równy, prawie koleżeński do przeciwnika niższego, lecz żołnierza dobrego, choć zwyciężonego. Znaczna liczba żywiołu polskiego w tym wojsku i to przeświadczenie o jego wartości zasadniczej rodziły usposobienie zupełnie odmienne, niż dla bolszewików.

Wojsko nasze, w przekonaniu żołnierza naszego, o wiele wyższe od wojska litewskiego spotkało się z nim w boju równym i zwyciężyło. Nie było w tym winy Litwinów, była to konsekwencja naturalna wyższości naszej. Poszczególny żołnierz litewski nie ustępował jednak naszemu, zasługiwał na traktowanie równe, o ile w żołnierzu naszym nie była zbyt ostra pamięć niewoli świeżo przebytej u Litwinów. Taki żołnierz dawał Litwinom „szkołę“, załatwiając swoje pora-

chunki z Tarybą. Zresztą był to wyjątek — ogół doświadczenia więziennego na Litwie nie posiadał, i dostrzegał w Litwinie, nie sługę obcego najazdu, lecz dawnego spółrodaka, rzuconego na siebie agitacją i przymusem.

Szeregowiec nasz był dla szeregowca litewskiego jakgdyby kolegą innej broni, oficer nasz był dla oficera litewskiego jeńcą pełen kurtuazji, zapewniając mu wszelkie względy, nie przywiązane do jego obecnej sytuacji, lecz należne jego stopniom.

W tym stosunku samorzutnie ujawniał się polski instynkt państwowy żołnierza naszego, który jakgdyby wyczuwał istniejące w tym względzie rozkazy władzy wyższej, sobie naogół nieznane.

NASZ ŻOŁNIERZ.

I.

Nie odbywałem służby wojskowej w żadnej z armii zaborczych i nigdy nie mogłem zrozumieć tego szczególnego przywiązania do ich dawnych pułków, jakie pozostawało u ludzi najbardziej wrogo dla obcych państw usposobionych. Mijały nieraz lata całe, a oni z zainteresowaniem dziwnym powracali do wspomnień z czasu swego „ochotniczego“ pobytu w wojsku, do drobiazgów dawnego życia obozowego.

Źródła tego przywiązania stały się dla mnie jasne od pierwszych chwil pobytu pod znakami 5 p. p. Leg., który odrazu był moim pułkiem. Człowiek dotąd cywilny dostawał się do wnętrza wielkiej maszyny, wielkiego zorganizowanego środowiska ludzkiego i odrazu fizycznie i psychicznie stawał się częścią organizmu odrębnego, żyjącego życiem własnym. Organizm ten wchłaniał go w siebie i zaszczeniał mu swoje właściwości w złym i dobrym, swoje troski i kłopoty, swój pogląd na świat.

„Cywil“ wraca do dawnego życia, wraca jednak nie ten sam co dawniej, wraca odmieniony, znaczony na przyszłość całą piętnem, czy stygmatem także swego pułku. Stąd — przywiązanie do dawnego oddziału nawet wtedy, jeżeli służba była ciężka, stąd — głębokie szczere zainteresowanie, trwające lata, szczegółami nieraz najzupełniej błahemi służby dawniejszej.

Wojsko, jego wyraz najdoskonalszy i zarazem najwyższy, dostępny oczom przeciętnego żołnierza, pułk — to cały świat psychiczny, o odrębnej fizjonomji duchowej, — to społeczeństwo ludzkie, wyrosłe z równości, ze wszystkimi charakterystycznymi cechami nierówności. Wy różnicowała się ona z pierwotnego jednakiego poziomu na tle tych samych właściwości indywidualnych, co i we wszelkim innym społeczeństwie — historycznym: dzielności, chytrości, bogactwa, czy mądrości, urodzenia czy wykształcenia osobistego z całym bardzo złożonym splotem najsprzecznějších charakterów (umysłowość odgrywa rolę tylko na samym szczycie).

Pułk jest całością o własnej swej psychice zbiorowej. Nazywają ją duchem organizacji, czasem złośliwie określają, jako ducha korporacji, esprit de corps, najczęściej nie ujmują jej w sposób właściwy, nie widzą nic poza formami organizacyjnymi. A tymczasem „dusza“ pułku, ta psychika zbiorowa jest istotnością tak samo realną, tak samo uchwytną i trwałą, jak formy ze-

wewnętrzne organizacji a nawet trwalszą od nich. Rozpierzchli czy rozbici członkowie tej zbiorowości pielegnują owego ducha, rozwijają go i umacniają w sobie, ażeby po zetknięciu ponownym nadać mu postać nową życia zewnętrznego (np. nastroje jeńców czy więźniów, Benjaminów lub Huszt) z jednej strony, a z drugiej nawet ludzie nowi, przybywający w warunkach zupełnie odmiennych, wcielani do formacji starej są od pierwszej chwili nie tylko ogarnięci przymusem zewnętrznym jej nakazów, są owiani tchnieniem, z pod którego wpływu, uroku czy nacisku nie są w stanie się wyzwolić. Nie znaczy to, by duch ten nie ulegał przetwarzaniu, by wybitne jednostki nie wywierały wpływu na psychikę całości, by rola mocnego dowódcy była znikomą, by życie, bogate życie wojenne przechodziło obok pułku, nie dając mu żadnej nowej treści. Lecz między terażniejszością a przeszłością pułku istnieje stała łączność psychiczna, która stanowi siłę każdego organizmu, a którą zazwyczaj zwie się tradycją.

Tradycja pułkowa to najmocniejszy fundament wartości, to zarazem i największy szkopuł do przewyciężenia, to owa treść wewnętrzna, od której uwolnić się nie można i o której zapominać nie wolno, to zarazem siła i słabość pułku.

Tradycja piątego pułku formowała się z najtrudniejszych wysiłków legjonowych, sięgając początkiem swoim początków naszej siły zbrojnej. Wyrosła ze Strzelca, z walk I brygady w latach

1914/16, z zatargu o przysięgę 1917 r. i Szczypiorny, z obrony Lwowa 1918, z ofensywy wiosennej 1919 r., zdobycia Wilna, Dyneburga, z tryumfálnego pochodu za Dniepr, z bolesnego z pod Kijowa odwrotu, z energicznej kontrofensywy naszej, latem i jesienią r. 1920. Wyrosła z legionów i z całą ideologią legionową jest najsilniej zrośnięta. Oplata osobę Komendanta, z którego stworzyła kanon wiary swego żołnierza i z którego czerpie tworzywo dla swego rozwoju dalszego. Związana z każdą placówką zagrożoną w Rzeczypospolitej, rozwija się nadewszystko na Wschodzie w promieniu trosk i walk Lwowa i Wilna, z ich bohaterskiego przykładu biorąc dwa główne wskazania służby narodowej: wierność i wytrwanie, pewność i odwagę. — Doświadczona i doświadczana po dzień dzisiejszy stała się źródłem wiary we własną wartość, podniętą do ostrożności i przekonania głębokiego, że niema w Polsce pułku, któryby mógł się równać z 5 p. p. Leg. Żyje silna w psychice zbiorowej, znajdując swój wyraz najmocniejszy w specyficznych cechach: dowództwa, korpusu oficerskiego i pułku, jako całości.

Mówiąc o dowództwie, chciałbym podkreślić jedną tylko właściwość, którą możnaby jakgdyby nazwać poza osobową, lecz której od osób działających oddzielić nie sposób. Odziedziczona jeszcze po dowództwie I brygady, z którego komenda 5 pułku wyrosła, sprowadza się do dwu

zasadniczych pierwiastków, napozór sprzecznych ze sobą: nie oszczędzania żołnierza i troskliwości wielkiej o pułk. Żołnierz stale zajęty, bez chwili wytchnienia, nieraz męczony służbą, akcją czy marszem, zaprawiany w ten sposób do wysiłków wprost niesłychanych, nieznanych w pułkach innych, ma zawsze tę pewność, że nigdy nie będzie napróżno rzucony w niebezpieczeństwo i że w każdej krytycznej chwili, w każdym zagrożonym punkcie znajdzie się na jego czele dowódca doświadczony, który go wyprowadzi z trudności. W ten sposób powstaje zaufanie zupełne do kierownictwa, które nie zawodzi, i zupełne zaufanie do żołnierza, na którym zawsze polegać można, podwójnie ważna właściwość, nadająca pułkowi szczególną wartość bojową. Na straży owej tradycji stoi pułkownik, nie tylko męstwem i spokojem uzdolniony do kierowania sławnym pułkiem, lecz zarazem zdający sobie sprawę z wartości swych podkomendnych i rozumiejący całą odpowiedzialność, odziedziczoną po komendantach dawniejszych.

Dzisiejszy korpus oficerski pułku, jak prawie we wszystkich pułkach naszych, składa się w ogromnej większości z młodzieży rycerskiej w wieku przeciętnie do lat 25 z pośród studentów szkół wyższych. Co do swej przeszłości są tu elementy najróżniejsze: dawni legjoniści, którzy w młodym wieku rozpoczynali służbę dla Ojczyzny i od niedawna dopiero doszli do stopni podpo-

rucznikowskich, często przedstawiani do awansu za męstwo z pośród szeregowców na polu walki, dawni oficerowie czy żołnierze austriacy i rosyjscy, dawni dowórczy, wychowawcy szkoły podchorążych. Z Królestwa, Galicji, Kresów Wschodnich i Lwowa dziś wszyscy oni stanowią całość jednolitą, związaną mocno ze sobą i z przeszłością pułku. Jeden naogół duch, jeden nastrój mimo odmiennych nawet zapatrywań politycznych, jedna jakgdyby myśl nadaje owemu korpusowi fizjonomję jednolitą. Istnieją sposoby najprzeróżniejsze, nawet najzupełniej zaszczytne pozbywania się z pułku tych, którzy doń nie pasują. Pozostają ludzie wzajem dostrojeni, sharmonizowani i rozumiejący jednakowo zadania swoje i zadania pułku, pozostają oficerowie dobrzy. Dobry, sumienny oficer — to prawdziwa gwarancja wartości żołnierza. Gospodarz dbały kompanji czy bataljonu, wódz swego oddziału troskliwy, przezorny, i ostrożny, kierownik mężny i waleczny, odpowiedzialny za życie i sprawność podwładnych szeregowców, takim jest przeciętny oficer pułku. A w granicach tych właściwości zamyka się szeroka skala odchyłeń indywidualnych od natur bujnych, niepohamowanych, gwałtownych do temperamentów flegmatycznych i rozważnych, od ludzi o odwadze wścieklej i impecie szalonym do typów o równowadze, spokoju i niewzruszonym panowaniu nad sobą, na obu krańcach jednakowo znaczonych zasadniczą właściwością --

męstwem, które imponuje i porywa. Duch jednolity, harmonia elementów i męstwo dowódców, to tyleż czynników organicznego moralnego scalenia się pułku.

Narzędzie pewne w ręku swego dowódcy, organizm jednolity, mocno z tradycją swą zrośnięty, pułk piąty jako całość, posiada dwie wielkie wyróżniające go cechy. On się nigdy nie załamał w boju, nie stracił ducha swego i nie poddał nastrojom odwrotu. Jeżeli się cofał to na rozkaz i to rozkaz z wysoka idący, cofał planowo, z bólem w sercu i mocno zaciskając zęby. Bo kiedy wszystko cofało się gwałtownie, bo kiedy tu i owdzie cofano się bezładnie, panicznie, on nie znał nastroju paniki i wciąż jeszcze wyrывał się naprzód. Wtedy to ostatecznie utrwalała się jego sława u innych pułków naszych.

Drugą wyjątkową zupełnie właściwością jest jego błyskawiczna szybkość przesunięć. Pułk przeciętnie w ciągu doby robi od 40 — 60 klm. chociaż szybkość ruchu nie jest zbyt wielka, i normalnie ogranicza się do 2 — 3 kl. na godzinę. Ruch jednak nie przerywa się w okresie czasu przeznaczonym na zdobycie pewnego celu marszu. Pułk posuwa się z niewielkimi 2 — 4 godzinnymi przestankami bez przerwy w ciągu 24, 36 lub nawet 48 godzin i osiąga w ten sposób rezultaty całkiem nieoczekiwane. Przerzucony z pod Kuźnicy, skąd wyruszył około 11 zrana 15 września, przez Dąbrówko, N. Budy, Sejenki, Stude-

niczną stanął w Podsterskim lesie i okolicy 16-go o godz. 5-ej, straciwszy z pięć godzin na czekanie na szosie, zupełnie zatarasowanej; 22 wieczorem po godz. 22-ej wyruszył z Sejn przez Ogrodniki, Druskieniki, Nierowę, Kondomańce, Marcinkańce, w Szumach stanął o godz. 1/24-ej dn. 25 września. 27 o 1-ej w nocy wyruszył z Gineli przez Radun, Zyrmuny pod Lidą był od 11 zrana 28, mimo że obszedł miasto, zniszczywszy tor pod Gudami i Obmaniczami. Szybkością ruchu daje rezultaty strategiczne i taktyczne, nakazane przez dowództwo; przeraża i zadziwia przeciwnika, imponuje obserwatorom wytrawnym (Francuzi nie chcieli wierzyć, że można odhwywać tak wielkie marsze) i stwarza korzyści, które tak wybitnie wyróżniały akcję I dyw. Leg. w Lubelskim, Białostockim i na Białej Rusi. Wyjątkowa wytrzymałość całości związanej silnie, dobrze w częściach swych dostosowanej, zaprawionej do wysiłków ciężkich, niezwykłej do oszczędzania siebie daje tę możliwość impetu. Ruch ciągły pułku, brygady, dywizji, rozłożony na części nawet dosyć znaczne wywiera wrażenie przegrupowań powolnych, widziany w całości, na całym terenie działania, wydaje się ruchem olbrzymów, imponującym i w skutkach swych zbliżonym do wspaniałych marszów napoleońskich, np. kampanji 1805, lub 1806/7 r.

Takim jest pułk piąty: pewny, jednolity i sharmonizowany, wytrzymały, mężny, stalowo-nieugięty i błyskawicznie szybki jest on nieustan-

nym twórcą własnej swej legendy. A jeżeli jest takim, jako całość, to dlatego głównie, że budowniczym jego wartości, kontynuatorem tradycji i jej piastunem jest narówni z oficerem, prosty szeregowiec, szary legionista.

II.

„Szary legionista“ — przypominają się niedawne czasy legionowe, od których jakże daleko odbieśliśmy już obecnie. Pułk piąty nie jest tylko zbiorem ochotników, którzy na rozkaz swego wodza rzucili się w bój beznadziejny, jest on dzisiaj zwykłym pułkiem polskim. Obok starych „legunów“ poborowi, obok ochotników z momentów krytycznych zwłaszcza obrony Lwowa, zmobilizowani żołnierze austrijscy i rosyjscy, obok chłopów robotnicy miejscy i młodzież wyższych klas gimnazjalnych, wesoły andrus z Woli w parze ze spokojnym rozważnym włościaninem z łomżyńskiego, „sakramencki“ baciak łyczakowski, nadający ton w pułku, obok powolnego, flegmatycznego dziecka grodzieńszczyzny, zacięty i uparty, a przeciągający wileńczyk i niezdarny żydek łódzki, klasyczna „oferma“ pułkowa, mimo różnaitości elementów i charakterów ludzkich, tworzą wspólnie typ starego piechura legjonowego.

Ma on swoje ułomności, ma zalety wielkie

i tę szczególną: urok osobisty, który całkowicie zasłania jego wady głębokie. Dufny w siebie i hardy wierzy, że mu wszystko wolno. Wojna dla jednych, przykład starych kolegów dla innych sprawiają, że wiara ta utrwała się ostatecznie. Bez zaradności niema życia w wojsku, bez samodzielności — nie może być mowy o przetrwaniu wojny. Co słabsze, odpada, pozostają jednostki nie tyle nawet fizycznie, ile psychicznie, mocniejsze i ostatecznie ustalają w sobie dwie zasadnicze „cnoty”: liczenie na siebie i obrotność. Żołnierz wie, że w potrzebie nikt mu nie pomoże, że z trudności nikt go nie wydobędzie. Część tłumy, do tłumowgo życia tylko wzwyczajony, dzisiejszy żołnierz polski, żołnierz wojny ruchomej jest zawsze rycerzem tyraljery. Wytwarza się specyficzna właściwość, wynik pomieszczenia sprzecznych pierwiastków. Żołnierz samotny czuje się źle, opuszczony i niepewny szuka więc zawsze zetknięcia z innymi, szuka pomieszczenia w jakichś ramach, czysto automatycznie tworzy nieraz z rozpieszczałymi kolegami sekcje, plutony, kompanie, automatycznie poddaje się rozkazom tego, kto w danej chwili z tytułu szarży, znajomości terenu czy wieku ten rozkaz wydawać pragnie, automatycznie skupia się w organizację, a zarazem nawet w najdoskonalszej organizacji nie liczy na nikogo, jak tylko na siebie. Słuchając rozkazu on rozkaz ten przekłada na swój język i dostosowuje do sytuacji, którą widzi przed

sobą. Rozkaz musi być wykonany, a jak będzie wykonany, to rzecz tego, co otrzymał rozkaz. Część tłumu — bez którego żaden żołnierz nie rozumie życia, nawet najbardziej osobistego, nawet wtedy, jeżeli do tłumowości powoli się przyzwyczajają, piechur nasz jest indywidualistą o inicjatywie osobistej wyrobionej. Wykona, co wykonać musi, co mu narzuca rozkaz lub obowiązek żołnierski, lecz starać się będzie o to, by wykonać z możliwie najmniejszym wysiłkiem, oszczędzając najbardziej siebie — i zwalając w miarę możliwości, a nawet ponad miarę, trud wszelki na sąsiada najbliższego pod ręką.

Każdy myśli o sobie, więc i on musi o sobie pamiętać, stąd — jego stosunek do rzeczy i ludzi. Zawsze głodny i zawsze dbający o żywność żołnierz idzie na połów, bezlitosny dla otoczenia, zwłaszcza dla cywilów. On musi mieć to, co mu się zdaniem jego słusznie należy, a jeżeli dzieje się tak ze szkodą innych, tym gorzej dla nich. Zresztą jeżeli sięga on po cośkolwiek, to nie dla tego, by zdobyć podstawę zysków dalekich. Żołnierz żyje tylko dniem dzisiejszym, nie myśli o jutrze, a tym bardziej nie myśli o przyszłości dalszej. Wojna i niebezpieczeństwo uczą go, że co chwila wszystko się zmienia, trzeba więc tylko żyć chwilą. Energia i zaradność sprawiają, że niema sytuacji bez wyjścia. Pocóż troskać się jutrem, skoro ono, jeżeli ma przyjść, i tak przyjdzie, skoro w razie trudności i tak znajdzie się zawsze sposób

na kłopoty, niedolę. Ten sam żołnierz dbający tylko o siebie, napozór egoista bezwzględny i brutal, kiedy chodzi o jego interesy, jest zdolny do delikatności rażąco sprzecznej z powyższemi jego właściwościami. Dobry dla innych, dla dzieci zwłaszcza, litościwy dla jeńców potrafi dawać dowody wyszukanej troskliwości, o którą niktby go nie posądzał. Zresztą, on się tego wstydzi, maską męskiej obojętności i samolubstwa czystego zasłaniając wszelkie objawy wzruszenia, wszelki wyraz swej uczuciowości. A jeżeli mimo to znajdzie się świadek czynów, nie licujących ze zwykłą brutalnością rubaszną żołnierską, „winowajca“ w jakiś dziecinnie naiwny i dziecinnie chytry sposób spróbuje naprzód tłumaczyć się z tego, by potem w końcu z prostotą i szczerością przyznać się do „winy“.

Cechą najbardziej podkreśloną, na pozór również logicznie najmniej związaną z założeniami i charakterem jego jest poczucie koleżeństwa. Rozciąga się ono nie tylko na najbliższych towarzyszy broni, ogarnia nie tylko kolegów z jednego pułku, którzy poznając się po numerach wszędzie na terenie szerokim Polski momentalnie skupiają się w jedną rodzinę, obejmuje wszelką wogóle brać żołnierską. I tu tkwi źródło owej specyficznej solidarności żołnierskiej, która z wojska tworzy jeden świat i przeciwstawia go, jako całość, życiu cywilnemu. Na kolegę żołnierza liczyć można w granicach idących o wiele dalej

i głębiej, niż w życiu cywilnym. Pieniądzem, dla którego ma on najzupełniejszą pogardę nawet wtedy, kiedy o pieniądź zabiega, pieniądzem, jeżeli go posiada, zawsze wspomógł kolegę. Chlebem, jeżeli chleba brak, zawsze się podzieli. A uczyni to z taką prostotą, tak naturalnie i bez pozy, z takim życzliwym ruchem ręki i zachęającym wyrazem twarzy, jak gdyby robił rzecz najzwyczajniejszą, codzienną i raczej on był tym, który bierze, a nie tym, który jest autorem uprzejmości.

Koleżeństwo obowiązuje względem wszystkich, i starszych i młodszych, wytwarza szczególną więź, spaja mocno ludzi i oddziały wojskowe.

W warunkach specjalnych, wśród trudności służby, w walkach uporczywych, po ciężkiej chorobie wspólnie przebytej — koleżeństwo przeinacza się w przyjaźń, jaką tylko wśród żołnierzy spotkać można. Chłopiec młody, a jest nim prawie każdy żołnierz polski, oderwany od rodziny, pozbawiony normalnego życia domowego, z coraz to inną obcującą przedstawicielką płci pięknej, a i to zrzadka tylko, wtrącony w rozgwar życia obozowego szuka instynktownie w otoczeniu kogoś, z którym mógłby podzielić się dorobkiem swego własnego świata wewnętrznego. On się teraz dopiero rozwija, w jego duszy, w jego głowie rodzą się poraz pierwszy własne myśli, powstaje pogląd na ojczyznę, na życie, na szczęście, na siebie, zdobyty w ciężkim psychicznym znoju.

Potrzeba mu atmosfery serdecznej, której w wojsku nie znajdzie, a którą zastąpić musi świadomość, że i obok niego w takim samym trudzie towarzysz jego doli i niedoli zdobywa także swój świat wewnętrzny. Kolega staje się druhem, egoizm osobisty rozciąga się i na kogoś innego; żołnierz przestaje myśleć tylko o sobie, a w trosce o przyjaciela staje się zdolnym do największej ofiary, bo ofiary z życia w jego obronie. Schodzą się ze sobą nie ludzie jednego pochodzenia, nie dzieci jednej warstwy, jednego t. zw. poziomu kulturalnego, schodzą się ludzie jednego pokroju, jednakowego tonu w odczuwaniu zjawisk życia, jednakowej wrażliwości. Znałem takich dwóch przyjaciół, z których jeden piękny typ uszlachetnionego marzyciela był prostym chłopem z pod Krakowa, trochę więcej niż analfabetą, drugi — był ochotnikiem z r. 1918, który porzucił gimnazjum lwowskie w momencie niebezpieczeństwa dla kochanego miasta i dotąd nie był w stanie powrócić do tej swojej szóstej czy siódmej gimnazjalnej.

Pozorna sprzeczność, jak gdyby dwoistość, występująca tak wyraźnie w charakterze piechu-
ra, zaznacza się nie mniej jaskrawo i w jego usposobieniu. Wytrzymały na trudy i odporny, jest on zawsze niezadowolony, na wszystko narzeka i stale szemrze: buty są ciasne, zupa niedobra, marsz za długi, nieprzyjaciół sakramencki, odpoczynek za krótki, i t. d. Żołnierz szemrze, bo ta-

ki jest jego zwyczaj, to należy jakgdyby do „dobrego tonu“ pułkowego. Zresztą przedmiotu istotnego do sarkania nie brak nigdy, tylko że żołnierz naprawdę tym się nie przejmuje.

Narzeka, bo narzeka, nie psuje mu to humoru dobrego. Zmienia tylko kierunek myśli. Jeżeli jest syty, maszeruje z zapalem i śpiewa, śpiewa nawet wtedy, jeżeli wróg jest gdzieś blisko. A jeżeli nie śpiewa, to kpi i dowcipkuje. Kpi z kolegi niezdary, jakich nigdy nie brak w pułku, wyśmiewa się dyskretnie ze swoich przełożonych w ich obecności i przy ich udziale, drwi z samego siebie, najszczerzej, lecz zarazem dla innych najmniej boleśnie. Jeżeli jest głodny, humoru nie traci. Rozmawia wtedy poważnie, zajmuje się polityką, na przeciwników swego poglądu, — który dziś jest innym niż był wczoraj i innym również, niż pogląd jutrzejszy, — rzuca gromy, gotów ich utopić w jednym kotle z bolszewikami. Kończy na kpinach ze siebie i swoich kłopotów. „Jest chleb, mówił któryś, jest Polska, niema chleba, to niema i Polski“, — a chleba już od 5 dni nie było. Kpi, śmieje się i gada. A gada zawsze, gada tym swoim osobliwym językiem żołnierskim, rubasznym, cynicznym, tak dosadnym i tak niesłychanie obrazowym.

Język żołnierza to naprawdę przedmiot godny specjalnego badania, dialekt, powiedziałbym, osobny, na który składają się wszystkie gwary polskie, wszelka wymowa polska i ta dodatkowa

czysto obozowa bezwzględność stylu. Bogactwo wyrażań, obfitość obrazów, szerokość rozmachu łączą się w pełną całość ze specyficzną „nieprzyzwoitością“, obrażającą słuch nieprzyzwyczajonych do tej mowy żołnierskiej. Jak całe życie żołnierza, tak samo i jego język ma w sobie zasadniczą dwoistość: rozporządzając dziesiątkami nieraz zwrotów dla określenia jednego pojęcia, na dziesiątki myśli używa jednego słowa najbardziej elementarnego i trywialnego. Znaczy ono działać i być bezczynnym, i jeść, i pracować, i chwalić, i ganić, i krzyczeć, i wyróżniać, i wogóle wszystko, co żołnierz chce powiedzieć, jeżeli chce być odrazu, a należycie zrozumianym.

Bogactwo słów i niesłychana jednostajność wyrażań w języku, jak w usposobieniu i charakterze żołnierza: oto dwie napozór sprzeczne strony tej mimo wszystko jednolitej postaci żołnierskiej, młodego i pełnego prawdziwego rozmachu życia, związanego z troskami pozafrontowymi, a rozwijającego się wśród walki i stałego niebezpieczeństwa, indywidualności silnej, stopionej w jedność z tłumem zorganizowanym.

Jego dwoista natura w całej pełni zarysowuje się przy robocie. Postawiony na posterunku, wysłany w patrolu, linią szeroko rozrzuconą idący do ataku, jest on zawsze wierny sobie. Niepotrzebnie się nie wysunie, na wroga nie pójdzie, jeżeli tego nie będzie wymagała konieczność. Nie wyrywa się, nie pędzi na oślep przed siebie. Do-

świadczony a przesądny wie on, że pierwsza rzecz — to szczęście: co komu sądzone, tego nie uniknie; są tacy, co sześć lat walczą i są nietknięci, są tacy, co ledwo wyjdą w pole, a kula ich dosięgnie; są i znaki niechybne, zapowiadające nie-szczęście, zły omen, skaleczenie przed bitwą, przeczucie. Rzecz druga — to konieczność pomagania losowi. Stary żołnierz się nie boi, jego nie oblatuje „cykorja“, on się jednak rozumie i na głosach kul i na huk armatnim i na kierunku strzałów, on wie, kiedy przypaść, kiedy biec przed siebie, jak uderzyć, a jak się zasłonić. Wie to wszystko, czego nie wie i wiedzieć nie może żołnierz młody. Stąd źródło szczególniejszego stosunku między nim, a tak złośliwie przez niego zwanym „powstańcem dwudziestego roku“.

Kiedy w ostatnich tygodniach odwrotu przyszła wiadomość, że kraj się wreszcie ruszył, że naród cały poczuł się w jedności z armją, że zaczynają, jak pisano, setkami tysięcy napływać ochotnicy do wojska, zrobiło to olbrzymie wrażenie we wszystkich pułkach. Żołnierz z poboru naogół z trudem rozumiał, jak to ktoś może „z ochoty“ iść do służby, na wojnę; w każdym razie i on był częścią armji jednolitej, w której duch moralny wzmógł się odrazu i w której wiele spodziewano się po owych ochotnikach. Wszędzie wyczekiwano ich przybycia z prawdziwą niecierpliwością i wzruszeniem, a tymczasem bi-to się coraz lepiej. Ochotnik z niemniejszym wzru-

szniem szedł w pole; nieco przez pryzmat Sienkiewicza wyobrażał sobie tę „najpierwszą linię“, dokąd się wydzierał, i przez poezję ujmował żołnierza i wojsko. Po obu stronach istniało nieporozumienie. Ochotnik był taki sam „bażant“, jak każdy inny, niewyćwiczony, a z pretensjami. Idąc na wojnę przed samym sobą pozował na „bohatera“, domagał się praw i przywilejów szczególniejszych z tytułu swej decyzji, na żołnierza z poboru, na starego żołnierza patrzył z góry, a sam brał karabin do ręki po raz pierwszy w tej samej chwili, kiedy go posyłano po raz pierwszy na wypad. Pożytku z niego w pułku na początku było mało, a kłopotu dużo. Z drugiej strony i rzeczywistość wojenno-wojskowa wyglądała zupełnie inaczej, niż w książce, zwłaszcza, że w wojsku traktują wszystkich jednakowo, z czym się on pogodzić nie chciał. Co więcej, stary żołnierz, czując wszystkie strony słabe kolegi nowego, a przede wszystkim jego ambitność, starał się ją wygrywać na korzyść swoją. On się już na ochotnika, czy to do wywiadu, czy na szpicę nie wrywał. Więc „powstaniec“ musiał iść zawsze w pierwszym szeregu, nie tyle z męstwa niepohamowanego, ile dla ambicji swojej. A przecież wiadomo, co znaczy ambicja u inteligenta. Nie ma niebezpieczeństwa, niema sytuacji, w którejby się przyznał do tego, że się waha, jeżeli wiedział, że inni patrzą. Szedł więc naprzód z głową podniesioną i panował nad odruchami nawet wtedy,

kiedy kule padały wprost na niego, kiedy koledzy się pochylali, kiedy żołnierze starzy ukrywali się w rowach, kiedy się cofali. Szedł naprzód, bo miał iść naprzód, bo tak mu kazała jego duma, choćby miał w duszy ziość do towarzysza, którego, jako bohatera, inaczej wyobrażał sobie na „hinterlandzie“. Z obu stron nieporozumienia rosły i powstawał w wielu pułkach zatarg, w który aż musiała wkroczyć władza najwyższa wojskowa.

W pułku piątym zatargu nie było, nieporozumienia początkowe minęły szybko, przeciwieństwa obustronne się zatargły, żywioł ochotniczy, nowy i nieliczny życzliwie przyjęty, wsiąkł w szeregi dawne, wkrótce zrósł się z nimi. Nie zmienia to jednak faktu samego, iż „powstaniec dwudziestego roku“, poczciwy niedołęga o ambicji wygórowanej męstwa nie takim sobie wyobrażał wiarusa starego z pułku piątego.

Tylko że ten wiarus ma zawsze oblicze dwójakie. Ostrożny i rozważny, prawie „dekujący“ się „łazik“ nagle przetwarza się w boju. Męstwo dowódcy zaraża i jego odwagą. Idzie do ataku z wściekłością, nie dba o strzały przeciwnika, lekceważy padające na okół szrapnele, pędzi, pędzi coraz szybciej, impetem niweczy wroga. Ukryta cnota bojowa wyładowuje się w całej pełni. Przestaje widzieć niebezpieczeństwo, wierzy teraz tylko w swój los, w los dobry, szczęśliwy żołnierza piątego pułku. I czy to noc, czy chłód, pia-

chy, czy mokrady, wzgórze, czy rzeka, nic go nie jest w stanie powstrzymać. On biegnie naprzód: przed nim wszystko pierzcha.

widziałem podoficera chorego prawdziwie na odwagę. Od zimy 1914, jako chłopak 16-letni, należał do legjonów, pochodził z Zagłębia Dąbrowskiego. Przez cały czas, przez lata długie kule go omijały. Wierzył w swe przeznaczenie. Po każdej walce rwał się z tym większym zapalem do nowych bojów. W wypadzie nocnym na Sidrę przy pierwszej salwie był ranny kulą karabinową. Ranny biegł jeszcze naprzód, upływ krwi osłabił go, padł na ziemię, zrozpaczony. Dla niego praca nocy była skończona. Nie pojmował, by można było „w głupim“ wypadzie stracić zdolność do walki dalszej. Prawie, że płakał. Odesłany do Warszawy, ledwo zaleczony bez pozwolenia władz i bez dokumentów uciekł z powrotem na front. Prowadzący swą kompanię na okopy litewskie pod Gibami por. Jaźwiecki, trafiony kulą w piersi biegł jeszcze w tym samym tempie kilkanaście kroków naprzód, jeszcze przez czas jakiś porywał swych żołnierzy, by następnie bez jęku i bez słowa paść na ziemię i skonać.

Skomplikowany charakter żołnierza występuje i w marszu i na postoju. Wystarczy, by kolumna zatrzymała się na chwilę, we dnie, czy w nocy, w upał czy w zimno. Żołnierz umęczony drogą i klnący schodzi w rów, rzuca się na ziemię, na mech, na błoto nawet, śpi. Pada rozkaz:

powstać! dowództwo zrywa go do ruchu, żołnierz śpi jeszcze. Pada rozkaz nowy. Reluton śpiący podnosi się, śpiąc jeszcze, zwłaszcza w nocy, z oczyma otwartymi idzie, posuwając się, jak automat, pochylając w tył i naprzód, kołysząc się zwolna. Pierwszy korzeń, pierwszy kamień, na którym się potknął, budzi go dopiero. Strzał pierwszy z oddali trzeźwi kolumnę. Świadomość powraca momentalnie, przytomność łśni w oczach wszystkich. Żołnierz klnie znowu i z energią szukuje się do pracy. Snu mu zawsze za mało, za mało wytchnienia, więc śpi, gdy nadarzy się sposobność.

Nagle, rozkazem wyższym pułk — zatrzymany na dni dwa, trzy, kompanje — rozstawione po chałupach lub stodołach, wypoczynek. Niema walk, niema marszów, niema zajęć żadnych. Zdawałoby się, że teraz żołnierz wypocznie, że rad będzie wypoczynkowi. Mija dzień — on znowu niezadowolony. Po dniu wytchnienia powróciły siły: ciąży mu bezruch, bezcelowość spokoju. Pragnie akcji, życia.

W takich jednak chwilach, ze zdwojoną niecierpliwością czeka gazet, dzienników, wypatruje listów z domu, poszukuje książki.

Oświata czy kultura — nie odgrywają zresztą roli w jego świadomości. Dla referenta oświatowego ma dużo pobłażliwości, traktuje go z lekką pogardą, życzliwiej wtedy tylko, jeżeli widział, że referent ognia się nie boi, i że nie uchyla

się od trudów wojskowych. Daruje mu wówczas tę, zdaniem swoim, zbyteczność, a przypomina go sobie w godzinę odpoczynku. Pragnie wiedzieć, co się dzieje. Jeżeli sam czytać nie umie, każe sobie czytać pisma. Przepada za krótką powieścią historyczną, najlepiej dziecinną, za nowelką wesołą z życia żołnierskiego. Pogadaniek słucha z początku z zainteresowaniem, męczą go zresztą rychło. Przestaje uważać, myślą wraca do brakujących mu teraz czynności wojennych, do tego, co stanowi oś jego zainteresowania i cel jego życia.

Treścią bowiem życia jego stała się wojna, nieprzerwane pasmo zmieniających się wrażeń, wysiłków wielkich, niebezpieczeństw i zwycięstw. Jest już wojną zmęczony, tęskni do pokoju, lecz w możliwość jego nie wierzy, a może — i nie pragnie go w duszy. I tu ta sama dwoistość, co wszędzie. Klnie on na wojnę, a żyć bez niej nie może, tęskni do ciszy, do jakiegoś życia normalnego, a wyrывa się do ruchu, do walki, do ryzyka. Opowiada o tym, co robi, jak wróci do domu, a z domu ucieka w pole, po tygodniu urlopu, stęskniony za pułkiem.

Ciągnie go tam przyzwyczajenie, natura wędrowca, ciągnie miłość rozmachu i przywiązanie do nadzwyczajności, ciągnie przeświadczenie o niebezpieczeństwie grożącym, honor żołnierza, który nie pozwala zejść z pola, nim zatknięty zo-

stanie ostatecznie sztandar pokoju zwycięskiego, trwałego.

III.

Dzisiejszy pułk piechoty w Polsce składa się z oddziałów różnej broni. Podzielony na trzy bataljony, po trzy kompanie normalne, posiada przy każdym bataljonie — jedną kompanię karabinów maszynowych i jeden pluton wywiadowców konnych. Pozatym przy dowództwie pułku znajduje się w charakterze rezerwy 4 k. k. m. i kompanja techniczna, oraz t. zw. kompanja sztabowa. Nadto pracują przy wojsku dusz-pasterz, służba zdrowia i służba łączności, ogarniające pułk i bataljony, komisja gospodarcza i t. d. Ogółem pułk liczy 18 kompanji normalnych, do których wliczone są mniejsze szczególne rodzaje służby, oraz dowództwo pułku i dowództwa bataljonów. Zarówno w kompanjach linjowych, jak i w większości kompanji specjalnych przeważa typ normalny piechura-szeregowca, jednakże przez wyspecjalizowanie pewnych czynności, przez zwyczajowe używanie pewnych kompanji niebataljonowych do służb stałych przy pułku i wyodrębnienie ich z ogólnego korpusu piechoty rozwija się w nich szczególna psychologia żołnierza i powstaje względem niego antagonizm zwykłego „piechociarza“.

Antagonizm ten może w najslabszym stopniu istnieć w stosunku do kompanji technicznej, immo że kompanja ta najrzadziej bywa w ogniu i że powodzi się jej stosunkowo najlepiej. Bierze się to stąd, że ten oddział saperów pułkowych, zresztą zawodowo niewykwalifikowanych, a raczej stopniowo wzwyczajanych do służby technicznej, jest wśród nierównych zresztą pod względem wyszkolenia i bojowości kompanji jedną z najlepszych w pułku, że pod względem oświaty stoi najwyżej na 20% analfabetów (posiadała tylko dwóch analfabetów w pułku), że pod względem wytrzymałości żadnemu nie ustępuje. Kompanja techniczna używana do osłony dowództwa, do stałych zatym narówni z innymi placówek, w nieustannych, jak wszyscy, marszach ma swe zadanie szczegółowe, zresztą jak wszystko przez piechurę lekceważone, lecz mimo to oczywiste, widoczne, a częstokroć dla wszystkich nieodzowne. Kiedy inni po ciężkim marszu wypoczywają, nasi pułkowi saperzy zabierają się do roboty: urządzają przejścia, poprawiają mosty, budują nowe. Trzykrotnie widziałem ich przy robocie: pod upalnym słońcem wrześniowym, w chłodny dojmujący dzień jesienny, dniem i nocą w trudnych warunkach odnawiania przeprawy przez Niemen, i zawsze widziałem jednakowych. Kompanja techniczna się nie spieszy, ma zawsze czas, a na pozór nic nie robi. Kompanja techniczna nie traci wyrazu zwykłego,

nie przestaje bawić się i śmiać. Wszyscy się niecierpliwią, narzekają, wszyscy czekają, ona się nie daje wyprowadzić z równowagi — i w momencie dla wszystkich najmniej spodziewany oddaje robotę gotową. A przecież ona wszystko robi sama. Drzewa rąbie, deski piłuje, materiał zwozi, kozły zbija, podpory w rzece ustawia, belki przerzuca i spaja, na nich pomost układa i umacnia, poręcze dorabia, przybija i utrwala; kiedy potrzeba, kładkę przerzuci przez rzekę szeroką, misterną kładkę z zachodzących na siebie desek pojedynczych; dopełni zerwane przęsła mostu, ustawi nowy na pontonach. Przez godziny całe moknie w zimnej wodzie, a humoru nie traci, niezapomina o śpiewie, którym znaczyła się wszędzie, zwłaszcza wieczorem, obecność jej na postojach. Daleko po lasach rozchodziły się przed nocą po pieśni apelu i rocie sakramentalnej mocne męskie głosy, śpiewające melodie tęskne i rzewne, frywolne i niecenzuralne, poważne i wesołe.

Silniejszy znacznie antagonizm istnieje między zwykłą piechotą, a obsługą maszynek, tym silniejszy, że według przeświadczenia prostego szeregowca kompanijnego niema między nimi różnicy funkcji. A tymczasem, karabiniarz żadnych posług dodatkowych nie pełni, rynsztunku w marszu na sobie nie nosi, chodzi luzem lub z lekkim karabinkiem na plecach, kiedy chce, siądzie przy maszynie na wozie i przejedzie dłuższy szmat drogi. Co gorsza, nie świetnej on używa opinii oso-

bistej u prostego piechociarza. A maszynkarz ma o sobie mniemanie najlepsze. Wie on, że w dzisiejszej walce rolę główną grają maszynki; one stanowiły o powodzeniach bolszewickich zeszłego lata, a odebrane bolszewikom i w ogromnej ilości włączone do naszych oddziałów one zdecydowały o zwycięstwie naszym. Wie on, że maszynki idą naprzód, by szerzyć śmierć, a zwłaszcza przerażenie w szeregach wrogów, i że za nimi dopiero uderza piechota, wyzyskująca sytuację stworzoną. Więc zasługę maszynek przypisuje sobie i na piechura prostego patrzy z góry, choć wczoraj był jeszcze w kompanji zwykłej i jutro może do niej powrócić.

Najgorszym jednak będzie stosunek do plutonów wywiadowczych, tym bardziej, że tu w zgodnym szeregu przeciwko nim stają wszystkie poza tym współzawodniczące ze sobą powyższe kategorie: piechociarze, K. T. i karabiniarze. Pomiedzy poszczególnymi rodzajami broni w każdym wojsku istnieje odwieczny, powiedziałbym, antagonizm, stosunek najgorszy jednak i najostrzejszy panuje między kawalerją i piechotą. Uważa ona konnicę za rodzaj broni zbyt cenny, odmawia jej wszelkiej wartości, zarzuca jej zawsze winę swych niepowodzeń, podejrzewa o wszelkie przeciw sobie szyskany, posądza o tchórzostwo zawodowe i o rabunki nałogowe i nie może jej darować powodzenia u kobiet. „Którędy przeszła konnica, tam niema co już robić piechota“ — myśli ka-

ždy piechur uczciwy. Część tego uczucia prze-
nosi on na swoją własną t. zw. dziką kawalerję.
Zresztą, określenie to ma nie tyle wyrażać stosu-
nek niepohamowany do ludności, lub męstwo wy-
jątkowe w obliczu wroga, ile raczej oznacza, że
plutony konne w piechocie nie należą do żadnej
określonej formacji kawaleryjskiej. Konie różnej
maści i różnej wartości od ciężarowych do praw-
dziwych wierzchowców, wszystko zdobyczne,
jeźdźcy różnej szkoły i najczęściej bez szkoły, bia-
ła czy czarna kita z końskiego ogona na czapce,
lanca przy boku, o ile było dużo konnicy nieprzy-
jacielskiej w okolicy, karabinek z fantazją na bok
przewieszony za plecami, lekki karabinek artyler-
yjski, ujawniający odrazu swe pochodzenie, ła-
twa płochliwość rumaków, — ot jak wygląda ta
nasza „konna marynarka“. Piechota jej nie lubi,
w oczy i za oczy ją obgaduje. Zarzuca jej, że za
dużo myśli o sobie i o swoich spasyłych koniach,
za mało o nieprzyjacielu, zwłaszcza wtedy, kiedy
wróg znajduje się w pobliżu i że woli rekonesanse
na tyłach swych placówek, niż przed własnymi
linjami.

Wywiadowcy bronią się, jak mogą, płacąc
piechocie równą monetą, pełnią służbę łączników
i nieraz dają poznać całą swoją wartość. Przezna-
czeni do wywiadów pozwalają się czasem uno-
sić fantazji zbyticznej, porywając się na szarże
szalone i niestety w skutkach swych tragiczne, jak
w bitwie pod Gibami.

Za wojskiem linjowym, jakgdyby w drugim szeregu, stoją formacje pomocnicze, wśród nich zaś przedewszystkim służba zdrowia. „Opieka sanitarna w wojsku” — słowa te brzmią, jak ironja. Widziałem szpitale polowe w Lidzie po bitwie, widziałem zachowanie się sanitariuszy podczas ostrzeliwania, widziałem szpital już dosyć głęboko na tyłach i lekarzy wojskowych całkiem na tyłach. Jest w najnowszej książce *Claude Farrère’a* *La dernière déesse* opis szpitala wojskowego na Malcie. By dostać się do sali chorych przejść trzeba przez trupiarnię. Ranny może spaść z noszy do trumny otwartej, lecz może uniknąć tego niebezpieczeństwa i mimo wszystko znaleźć się w sali szpitalnej ciemnej, nieoświetlonej i zimnej. Nie wiem, czy to ma być opis rzeczywistości, czy symbol zjawiska powszechnego. Nie leży w zamiarach moich akcentowanie niedomagań służby sanitarnej. Wiem jedno tylko, że mimo wysiłków wielu lekarzy i podlekarzy źle się dzieje z tą służbą w wojsku i że na poziomie ich męstwa i pracy nie stoi naogół nastrój „łapiduchów”.

Są oni prawdziwymi taborytami. Tabor lekki, towarzyszący bataljonom i pułkowi, i ciężki, znajdujący się na tyłach i tylko na postoju zbliżający się do swoich oddziałów, obejmuje całą gospodarczą i administracyjną część pułku, z kancelaryami włącznie. Złożony z żołnierzy, zdyskwalifikowanych do służby czynnej, lub takich, któ-

rym udało się w ten lub inny sposób uniknąć służby w kompanji, posiada własną swoją fizjonomję i własne interesy. Są w taborze ludzie dzielni, którzy nieustannie wyrrywają się z powrotem do linji, są żołnierze starzy, którzy i tu w momentach krytycznych, jak podczas odwrotu z pod Kijowa, spółzawodniczą po bohatersku z szeregowcami kompanijnymi i nigdy nie rozstają się z karabinem, lecz „prawdziwy taboryta” — to ktoś zupełnie inny. „Taboryta” bowiem — to żołnierz, nie wolny od trudów życia obozowego, lecz w znacznym stopniu zabezpieczony od bezpośrednich niebezpieczeństw i wysiłków bojowych, to człowiek roszczący sobie pretensje do praw i prerogatyw żołnierskich, a myślący jedynie o tym, by wykpić się od obowiązków wojennych. Zauważały się w nim istniejące w każdym żołnierzu przywary, nie osłonięte powłoką, jaką nakłada na szeregowca linjowego stałe obcowanie ze śmiercią. „Taboryta” myśli tylko o sobie i urzęduje się w wojsku na stałe. Gębacz pierwszorzędnym, kiedy przy ognisku rozpalonym opowiada przygody własne, cudowne, najczęściej zmyślane, w obliczu strzałów nieprzyjacielskich chowający się pod konie lub włazący pod wóz ze strachu, typowy „żołnierz chełpliwy” farsy starożytnej jest on zarazem maruderem wojny najzupełniej nowoczesnej. Oto — biegun przeciwny tej całości psychicznej, która zwie się piechurzem współczesnym, a u której szczytów stoi małoletni obrońca Lwowa i Wilna.

IV.

Dowódca — bez strachu i zarzutu, pułk — bojowo cenny, w walce pewny, w bitwie szczęśliwy, w ruchach błyskawiczny, żołnierz ostrożny, a jednak niestrudzony i niezwalczony, choć wiecznie szemrający, w potrzebie bohaterski, nawet ze swym „odkuwaniem“ i taborytą, zasługującym na „virtuti taboritari“ — tak wygląda rzeczywistość dzisiejszego polskiego życia wojennego. Jakże blizkim tego obrazu jest wspomnienie z przed lat stu, sławny g r o g n a r d napoleoński!

BIALORUSINI I NASZ STOSUNEK DO NICH.

W ciągu długich marszów i przemarszów nad Narwią, Niemnem, Serweczem czy Uszą, w ciągu szeregu postojów, kwater po chałupach chłopskich i izbach żydowskich tego rozległego kraju, który zaczyna się od Bugu, a ciągnie pod Mińsk, starałem się o jedno, o zdobycie prawdziwego, a bezpośredniego wrażenia rzeczywistości otaczającej. Próbowałem nie pamiętać tego, com wiedział o Białej Rusi, jej przeszłości, o Białorusinach, wszelkie obce i nasze dowodzenia w sobie zatrzeć i przede wszystkim widzieć otaczające mnie życie. Nie będę twierdził, żebym uwolnił się całkowicie od aprioryzmu gotowych własnych formuł, ażebym zdobył całkiem nowy sąd o sprawach i rzeczach, skądinąd znanych. Jedno zdobyłem napewno, sąd w miarę sił moich bezstronny, oparty o obserwację bezpośrednią stosunków, które w ogniu wojennym przybierać muszą z konieczności nieraz koloryt bardzo zamazany.

I.

Przedewszystkim, czy istnieje geograficzna, powiedzmy krajobrazowo indywidualna Białoruś.

czy kraj pod tą nazwą znany może rościć sobie pretensje do miana całości geograficznej. Zdaje mi się, że nie. Za okupacji niemieckiej inteligencja białoruska wydała pocztówki obejmujące ziemie, które według obliczeń uchodzącego wówczas za Białorusina, niegdyś warszawskiego działacza rosyjskiego, prof. Karskiego, miały stanowić Białoruś. Białoruś ta posiadała dziwną postać, o granicach falujących, wdzierała się i gwałtownie cofała w Siedleckie, Wileńskie, na południe w tereny Ukraińskie, sięgała hen na wschód za Smoleńsk, dochodziła prawie pod Moskwę. Ta dziwaczna postać, odpowiadająca może mapie rozsiedlenia ludu białoruskiego i gwar, noszących cechy mowy tego ludu bez granic, uderzało oko, przyzwyczajone do czytania mapy geograficznej, zupełnie dowolnym połączeniem całkiem odrębnych jednostek geograficzno-politycznych. Mapa ta przypomina mi się obecnie, kiedy próbuję odtworzyć wrażenie kraju, odebrane bezpośrednio.

Na zachodzie prawie pod Grodno, kraj stanowi prawie jedną całość krajobrazową ze wschodnimi częściami dawnego królestwa: Podlasie nie było sztuczną jednostką. Po tej i tamtej stronie granicy b. Królestwa, w siedleckim i białostockim mamy wrażenie jednej całości ciągłej — pagórkowatej, z dużymi wydmami piaszczystymi, niłym zalesieniem, jednakowym typem zagospodarowania rolnego. Nie są natomiast dalszym cią-

giem tego widoku, ani północna część Grodzieńszczyzny, czy południowa Wileńszczyzny, ani zwłaszcza zachodnie części Mińszczyzny. Kiedyśmy po wielu dziesiątkach godzin opuścili krainę jezior, lasów i ludności litewskiej, by znowu stanąć na ziemi, gdzie mówią językiem pośrednim między mową naszą, a rosyjską, wzrok nasz wraz z słońcem, które powstało, uderzył widok, czysto mazowiecki. Olbrzymia równina prawie bezbrzeżna, poprzerynana szeregiem strumieni, niesłychana płaszczyna piaszczysta, której swoiste, pod Warszawą nieznane zabarwienie nadaje specyficzny trakt rosyjski, zastępujący szosę, obszerne nieraz na wiorstę szerokie ujeżdżone piachy, będące w tym kraju jedyną arterją komunikacji. Od czasu do czasu trakt ten ginie w lasach, nie lasach litewskich, zdawałoby się, nieprzebytych, których ani przeszłość, ani nawet teraźniejszość wytrzebić nie była w stanie, lecz w porządnym lasach iglastych typu dobrze znanego pod samą nawet Warszawą. Między tym krajem, rolniczo bez porównania słabszym, i zgoła inaczej niż u nas zagospodarowanym, a zachodnią Białorusią — różnica istotna, między nim — a Białorusią, przylegającą do Litwy, przepaść prawdziwa, jedyne uderzające podobieństwo, które siłą wrażenia radować musiało serce każdego żołnierza Mazura, istnieje tu tylko w stosunku do naszej najściślej ojczyzny mazowieckiej. Stąd wniosek, poparty doświadczeniem tych, którzy kraj ten

w innych jeszcze kierunkach przemierzili, krajobrazowo, pod względem wyglądu swego zewnętrznego Białorusi niema. Jeżeli mimo to nie można ziemi tej odmawiać jedności, to jedność tę daje jej system rzeczny, rozbijający Białoruś na dwie odrębne całości, z których zachodnia aż po Mińsk włącznie związana jest przez Niemen i wschodnie dopływy Wisły z Litwą i Polską właściwą, a odcięta jest od wschodniej części mapy prof. Karckiego.

Istnieją ustalone kryteria językoznawcze, które nie bez pewnego wpływu polityki — nakazują język ludności tej tak różnorodnej krainy uważać za jedną całość. Kryteria te w bezpośrednim zetknięciu ustępują innym bardziej praktycznym, które służą też do innego ostatecznego określenia charakteru języka ludności tej ziemi. Dla człowieka, którego językiem ojczystym jest polski, lecz który posiada dobrze język rosyjski, istnieją następujące zasadnicze sposoby określania właściwości językowych Białorusinów: a) czy rozumie on język tubylca, b) czy może sobie dać zrozumieć, mówiąc po polsku, po rosyjsku, po polsku z domieszką rosyjskiego, po rosyjsku z domieszką polskiego. Po zastosowaniu tego kryterjum wypadnie na doświadczeniu, zdobytym conajmniej w 40 miejscowościach, gdzie mówiono tylko językiem miejscowym, przyjść do następujących konkluzji. Oczywiście, odpadnie zachodnia połać kraju, Białostockie, gdzie mówią jakąś gwa-

ra, którą w promieniu powyższych założeń wypaźnie uznać za podrusynkowany polski. Rozumiem się tam dobrze miejscowego człowieka i mówi się z nim czysto po polsku. Wszędzie dalej istnieje jakiś dziwna mieszanina gwar, która nie pozwala na samodzielne, praktyczne usystematyzowanie języka. Wrażenie ogólne jest takie, że każda wieś mówi językiem zupełnie innym. Zdarzały się wsie i rodziny w Mińszczyźnie, dla których polski był bliższym i w czynnym i w biernym stosowaniu, a bez porównania bliższe nam geograficzne osiedla są językowo o wiele bardziej związane z rosyjskim. Istnieją natomiast rozległe bardzo ugrupowania, jak np. Motewicze nad Niemnem, gdzie ani polski, ani rosyjski nie da się zastosować, gdzie chłop nie rozumie mieszaniny polsko-rosyjskiej, ani czystej mowy jednego z tych dwu języków, gdzie nie sposób zrozumieć tego, co on sam mówi, choć należy on do kościoła katolickiego. Na przewagę pierwiastków polskich czy rosyjskich w mowie wpływ zdaje się decydujący wywierały warunki gospodarczo-polityczne: bliskość i obfitość dworów polskich w okolicy, bliskość cerkwi i powiatu, służba w wojsku niegdyś rosyjskim, pobyt garnizonu rosyjskiego gdzieś w sąsiedztwie, bliskość miasteczka, które jest prawie wszędzie w swej części chrześcijańskiej dziś jeszcze w większości olbrzymiej czysto polskie (np. Bielica, Nowogródek i in.). Te czynniki wbrew łączności geograficznej czy to z polskością czy to

z rosyjskością komplikują jeszcze bardziej zasadniczą różnicę językową kraju, która sprawia, że właściwie nie może być mowy o jednym języku, lecz o szeregu języków na Białorusi. A przy niewyrobieniu literackiego języka białoruskiego, przy słabym rozpowszechnieniu prasy białoruskiej, przy dużym wpływie rosyjskim na twórczość literacką białoruską, zwłaszcza, np. w okresie bolszewickim, język literacki słabo docierający na wieś jest w małym stopniu czynnikiem ujednoliciającym mowę ludu, jest raczej pośrednikiem, ułatwiającym jej rusyfikację.

Mowa zatym „ludowa“ „tutejsza“ — nikt jej nie nazywa białoruską — w zasadzie najpoważniejszy pierwiastek łączności, sama nie posiada cech dostatecznie silnych, któreby prowadziły do zespolenia psychicznego ludności. Tym jedynie pewnym psychicznym momentem jest religia: częściowo katolicka, częściowo — prawosławna. Przynależność religijna decyduje o wewnętrznej przynależności do tej, czy innej grupy. Religja katolicka prowadzi do używania języka polskiego w całym wewnętrznym nawet życiu religijnym człowieka: chłop białoruski jest bardzo religijny, to też język jego modlitwy porannej i wieczornej jest dla niego rzeczą istotną, dzieci białoruskie, nie rozumiejące ani słowa po polsku, klepią Ojczenasz, Zdrowaś co dnia po polsku, polskim jest także oczywiście język służby bożej w kościele. Stąd katolik wszędzie jest „Polakiem“, prawosławny „Ru-

skim“. Religja dzieli Białorusinów nie na dwa jednak, a na trzy wielkie odłamy. Na zachodzie są „Polacy“, na wschodzie — „Ruskie“, każdy przywiązany mocno do swej religji i do swej grupy religijno-narodowej. Największy i najliczniejszy odłamek — to wsie, o ludności mieszanej, lub też wsie o ludności różnej, przylegające do siebie. Wśród takiej ludności stopniowo zaciera się ostre przywiązanie do swej grupy: małżeństwa mieszane są częste i do niedawna tam zwłaszcza, gdzie celowo niedopuszczano księży, lub gdzie nie było kościołów, ludność katolicka uczęszczała do cerkwi. Zacierała się różnica pomiędzy obu grupami: „miedzi nami niet razliczja“, jak mi mówił jeden z chłopów, katolik, we wsi prawosławnej, „my są jedne, tutejsze“. Obok materiału na Polaków i Rosjan, mamy tu materiał na prawdziwych Białorusinów, t. j. na odłamek, w którym poczucie „tutejszości“ będzie silniejsze od poczucia religijnego. W granicach pokoju ryskiego pozostali po naszej stronie tylko „Polacy“ i „tutejsi“ Białorusini, „ruskich“ z wyjątkiem północy od linii Wilno — Mołodeczno, prawie że niema.

Jeżeli Białorusi, jako całości indywidualnej nie znajdujemy, jeżeli Białorusinów, jako jednego narodu z świadomością narodową nie widzimy, to jednak nie możemy zamykać oczu na istnienie kwestji białoruskiej. Zagadnienie samodzielnego bytu narodowego, sprawa choćby teoretycznego stanowienia o swoim losie, pytanie co do własne-

go państwa, samodzielnego, federacyjnego czy autonomicznego w granicach takiego czy innego związku państwowego, ta kwestja z chwilą rozpadnięcia się dawnej Rosji musiała wystąpić na Białorusi. Podnosi ją młoda i nieliczna inteligencja białoruska, dziś jedyna szczerza przedstawicielka aspiracji narodowych Białorusi, a pochwyciły ją w swe ręce wszystkie czynniki międzynarodowe. Przedewszystkiem — Rosja. Odrodzona czy nie odrodzona Rosja niebolszewicka podejmuje tę kwestję, jako zagadnienie politycznie nieaktualne, o ile chodzi o samą Rosję, jako moment wysoce aktualny do wygrania na gruncie miejscowym i międzynarodowym przeciwko „imperjalistycznej“ Polsce. Rosja bolszewicka i w propagandzie i w traktacie ryskim ma w swoim ręku wyłączną reprezentację białoruszczyzny: idąc po staremu na odbudowanie terytorjalne dawnej Rosji Republika sowiecka niesie hasło federacji, w którym mieści się federacja republik rad, nie oddzielonych żadnymi urządzeniami i żadną granicą od republiki-macierzy, i rozporządza w ten sposób wysoce aktualnym argumentem przeciwko „pańskiej“ Polsce. Zresztą, trzymając Mińsk, może zeń stworzyć ognisko stałe przeciw-polskiej iredenty, przez nieustanne, zgodnie z odwieczną obłudną taktyką rosyjską, propagowanie wolności na eksport, przez poruszanie haseł narodowych poza granicami swemi. Wysunięta przeciw nam sprawa białoruska zostanie w ten sam

sposób pojęta na terenie międzynarodowym: ententa prowadząca politykę czystego egoizmu własnych państw, musi się liczyć z głosem sumienia swoich narodów, a nie dając im zaspokojenia w sferze działania bezpośredniego, tym chętniej stara się podsuwać dowody swego szlachetnego altruizmu na terenach dalekich i mało narodom jej znanych. Tym chętniej zwłaszcza staje ona dziś w obronie różnych narodów, jeżeli obrona ta może pozwolić na zaspokojenie własnych apetytów ekonomicznych (Anglja) i na stworzenie możliwości przeczekania do czasu odrodzenia potęgi Rosji (Francja). A przecież ponadto w każdej sprawie, osłabiającej autorytet Polski, grać będą rolę pierwszorzędną wpływy Niemiec, które nie mogą zapomnieć, iż była chwila, kiedy Mińsk mógł się stać punktem wyjścia dalszej politycznej i gospodarczej ekspansji wyłącznie niemieckiej. Jeżeli tak jest istotnie, Polsce nie wolno prowadzić na terenie białoruskim jedynie polityki korzyści doraźnych, nie wolno liczyć się jednostronnie z warunkami miejscowego życia, lecz musi ona zająć względem owej kwestji stanowisko jasne, zdecydowanie twórcze.

II.

Kwestja ta w chwili obecnej dwie posiada formy: jedną, wyżej skreśloną, polityczną, zasadniczą, drugą napozór politycznie drugorzewną

a związaną z nastrojami ludności Białorusi, nawskroś praktyczną. Pierwsza — jest dziełem polityków białoruskich, druga — wyrazem ludu białoruskiego, jednej bez drugiej rozwiązać nie sposób. I dlatego, żeby móc wypowiedzieć się w sprawie naszej polityki w tym kraju, nie wystarczy oprzeć się na zasadniczych elementach życia białoruskiego, trzeba starać się wejść także w zrozumienie nastrojów obecnych — całej ludności tej ziemi. Rzecz to nie łatwa: Białorusin bierny, wogóle nieufny, stał się nim bardziej jeszcze w czasie zmiennych kolei wojennych. Ostrożność kazała mu przed obu wojskami ukrywać swe myśli istotne, a zawsze zabraniała odsłaniać prawdziwe poglądy przed człowiekiem, ubranym w mundur. Sądzić naprawdę o tym, co ludność tego kraju myśli i pragnie, można raczej po tym, co z tych ludzi samo wybucha, co wbrew ich świadomej woli występuje w ich działaniach czy odruchach, niż po słowach i głoszonych opinjach. A jednak można ze znaczną nawet pewnością ustalić właściwy jej stosunek do zjawisk, które się wtedy przesunęły.

Oczywiście podstawowym jest stosunek do dawnej Rosji. Panowanie Mikołaja — to były czasy normalne, a jako takie po dzień dzisiejszy, mimo lekceważącej pogardy dla samego Mikołaja, uchodzą za czasy dobre, czasy pokoju szczęśliwego. Jedynym trwałym wspomnieniem tych czasów jest rubel carski: nowych rosyjskich pieniędzy

dzy chłop nie uznaje, nie przypisuje im wcale wartości pieniądza, na naszych polskich markach się nie zna, szacuje je mało, narówni z dawnymi niemieckimi, ma duże przywiązanie i zupełne zaufanie tylko do rubla, którego chowa religijnie, czekając przyszłości lepszej. Może sam nie umiałby określić owych czasów przyszłych, najpewniej wyobraża je sobie w starej postaci mikołajewskiej.

Ludność i po miastach i po wsiach jest fizycznie, a zwłaszcza moralnie umęczona wojną. Wieczne przemarsze, coraz to nowe wojska, coraz to inne tabory, ciężary, obowiązki, kwatunki: chłop ani mieszczanin od lat niema swej chałupy, ani swego dworu, ni konia, ni wozu. Wszystko jest naprawdę własnością przejezdnych, którzy się zmieniają stale. Niema czasu na wytchnienie, na odbudowanie po okropnościach wojny okopowej (np. Korelicze i okolice doszczętnie zniszczone), na chwilowe zagospodarowanie. Przez czas jakiś wydawało się, że wszystko powraca do normy: krótkie lato 1919 i jesień tegoż roku zużyto tu i owdzie na roboty wiejskie, prócz ziemniaków sadzili buraki, trochę roślin pastewnych. Na wiosnę znowu zwała się wojna. Spadła zgłodniała szarańcza bolszewicka, rozpoczęły się nie tyle okropności wojny, ile raczej niepewność losu i wieczna zależność od wszystkich. Zmęczenie psychiczne — znowu się potęguje, to też jedynym powszechnym pragnieniem jest spokój. Bolszewicy pierwsi od początku października głosili, że

będzie pokój. Postępujące krok w krok za uciekającymi bolszewikami, wojska nasze dowiadywały się od miejscowej ludności, że takie to rozkazy zostały u bolszewików wydane — w sprawie wprowadzenia pokoju z dniem 5, 7 czy jakiegokolwiek października. Chłop powtarzał, co mu bolszewik mówił, i czekał pełen niepewności i niecierpliwości potwierdzenia wieści od nas. „Spokój“ — to słowo jest nie tylko na ustach wszystkich, jest w duszach wszystkich ludzi tego kraju, na wsi i w mieście, u chłopów, obywateli ziemskich, u żydów. Spokój, do którego wszyscy tęsknią, jest również i miarą sądu o wypadkach, które się rozgrywają na Białorusi, i źródłem stosunku do zjawisk, które się tu rodzą.

Stąd, naogół powszechnie negatywny stosunek do ubiegłego okresu bolszewickiego. Propaganda bolszewicka przyszła nie jako zapowiedź poprawy bytu chłopskiego, lecz jako nowy czynnik wstrząśnienia, tego wstrząśnienia chłop znać o b e c n i e nie chce. A tymczasem prócz zapowiedzi nowego niepokoju wewnętrznego, bolszewizm chłopom nic nie dawał, sprowadzając na wieś tylko nowe niezmierne ciężary wojenne i klęski żywiołowe. I w zwycięstwie i w niepowodzeniach czerwona armja była katastrofą dla ludności: zabierano konie, podwody pędzono setki wiorst, a potem podwodziarzy bez wozów i koni, bez zapłaty i żywności puszczano z powrotem. Setki chłopów wracało z pod Warszawy aż pod

Mińsk Litewski. Ziemniaki wykopano i odebrano zarówno chłopom, jak i mieszczanom. Zboże ścięto lub stratowano. Siano zabrano. Metoda czerwono-armejska niczym w oczach chłopu białoruskiego nie różniła się od metody białoarmejskiej, tym tylko, że przyszła po tamtej, a zatem, jako ostatnia utrzymywała się tym żywiej w pamięci.

W promieniu bezwzględności rekwizycji czerwonych, wobec groźby nowego poboru, który z całą surowością przeprowadzono na Białorusi, rodzi się poczucie solidarności całej ludności tego kraju. Wbrew, naprzekór propagandzie, chłop nie daje się użyć przeciwko dworom, raczej przeciwnie. Znam symptomatyczny wypadek z dworem R., charakterystyczny dla stworzonej na Białorusi sytuacji psychicznej. Kiedy bolszewicy chcieli wziąć właściciela tego dworu p. D., cała wieś Czyżynowce zgłosiła się do komisarza, by się upomnieć o właściciela folwarku. Na argument, że oni są widocznie za polskim panowaniem, chłopci prawosławni, broniąc się przed tym zarzutem, twierdzili tylko, że oni nie pozwolą skrzywdzić pana D., który żył z nimi zawsze w dobrej zgodzie sąsiedzkiej, i uratowali „sąsiada“. Chowając konie swoje i bydło po lasach, chłopci, którym łatwiej było przeczekać bolszewików, zabierali na czas bolszewizmu bydło pańskie ze dworów, u siebie ukrywali zboże folwarczne, pomagając dworom, zresztą nielicznym, przetrwać ucisk czerwony. Po lasach również ukry-

wała się cała młodzież chłopska, którą, mimo pięknych odezw przeciwpolskich, komisarze z trudem i siłą tylko zdobywali do swoich szeregów, i tam spotykała z młodzieżą mieszczańską i drobnoszlachecką polską. W miasteczkach wyraźne polityczne prześladowania spadały tylko na ludność polską; na widoku publicznym, skutkiem denuncjacji, nielicznych zresztą miejscowych komunistów żydów, była ta straż polska na wschodzie przedmiotem nieustannych rabunków, ofiarą stałych aresztowań, szykan wiecznych, a czasem wyroków śmierci. Natomiast, cała zamężniejsza ludność miejska bez wyjątku była przedmiotem ucisku gospodarczego: handel został zahamowany, znikły z obrotu chleb, cukier, sól, nędza zajrzała w oczy wszystkim, a kontrybucje spadały na barki tych, którzy się wyróżniali bogactwem względnym, przedewszystkiem na żydów. Bolszewicy zapomnieli o dawniejszych sojusznikach, jakgdyby czując doczasowość swego panowania, prowadzili gospodarkę, która w pamięci ludzi miejscowych — zatarła całkowicie wspomnienie wszelkich okupacji poprzednich.

Na pobojuwisku pod Lidą znalazłem rozsypany dziennik jakiegoś oficera bolszewickiego: notatki zaczynają się pod Witebskiem, prowadzą pod Warszawę, stamtąd ciągną z powrotem aż za Grodno. Pamiętnikarz notuje stale dwa zjawiska: piękną pogodę i zły stosunek ludności do

wojsk bolszewickich, zły, choć władze bolszewickie nakazują jaknajłagodniej z nią postępować. Stosunek ludności i wiejskiej i miejskiej, mimo strachu przed komisarzem i czerwonym kozakiem, jest nie tylko zły, jest pełen pogardy. A ta pogarda jeszcze wzrosła w chłopie białoruskim, kiedy zobaczył w prochu leżące mrowie moskiewskie, kiedy co dnia oglądał pędzone setki, potym tysiące zgłodniałych, obdartych, wynędzniałych jeńców, których prowadziło paru „legjonistów“. Legjonistą bowiem zawsze jest żołnierz polski na Białorusi i dla chłopu-Białorusina, i dla żyda, i zwłaszcza dla mieszczanina — Polaka, który z dumą lubi opowiadać o swoim synku, służącym w legjonach. A jeżeli nie jest legjonowym wojsko polskie jest „pańskim“. Nie pomoże żadne tłumaczenie, nie pomogą tysiącni synowie chłopscy i nasi i nawet białoruscy w wojsku naszym. Jest ono pańskie i koniec. Dwa na to składają się pierwiastki: jeden odwieczny, historyczny, drugi całkiem nowy, agitacyjny. Polskim jest na Białorusi dwór. Właściciel folwarku, pan jest Polakiem. Stąd co polskie, to i pańskie, w złem i dobrem. Oto podstawa identyfikowania czynnika państwowo-polskiego ze społecznym, możliwość na tle antagonizmu społecznego podsycania nastrojów antypolskich. Bolszewicy w sposób świetny wyzyskiwali ten moment w swej agitacji, w broszurach, w odezwach, a zwłaszcza w plakatach barwnych, dla celów politycznych i przeciwpol-

skich podkreślając moment społeczny. Wojska nasze w ich urzędowej literaturze na Białorusi i wszędzie noszą specyficzną nazwę „legjonów pana Piłsudskawo“.

Zasadniczo negatywny stosunek do bolszewików i ich upadłej potęgi był narazie obroną nawet przed tego rodzaju konstrukcją polskości, gdzie była ona identyczna z pańskością i ustrojem pańszczyźnianym. Ale po marszach rosyjskich przyszły polskie. Wojska nasze szły tym samym szlakiem, co bolszewickie, zajmowały te same przejścia, te same wsie i miasta, te same chałupy. Nie wróciły jeszcze z podwód bolszewickich a iść musiały konie chłopskie z wojskami naszymi. Nie zdążyli usunąć z izb czy ze stodół wiązek słomy, na których spali Moskale, a oddawać je musieli na kwatery naszym żołnierzom. Nowy łańcuch wojsk szerokim pasem stuwiorstowym uderzał na cofającego się wroga, a oderwany od swej naturalnej podstawy zaprowiantowania, przy niedostatecznych środkach komunikacyjnych, przy złych drogach musiał zabezpieczyć swe wyżywienie na miejscu, choćby ogładzając kraj, przez który się posuwał. Gdzie idą masy ludzkie, posuwając się nieustannie naprzód, tam nie może obejść się bez nadużyć. Ogładzano ten kraj legalnie, ogładzano go i nielegalnie, zabierając tę resztę, która pozostała po bolszewikach. Nie wpłynęło to wprawdzie na nastroje przeciwbolszewickie, budziło jednak wspomnienie odezw bolszewickich

i rodziło niechęć cichą, tłumioną do nas. Chłop naogół rozumiał konieczność rekwizycji i ciężarów, które spadały na kraj, lecz zarazem buntował się z całej duszy przeciwko niesprawiedliwości losu, który jego właśnie obciążył obowiązkiem ponoszenia trudu wojny. I modlił się nieustannie o pokój. Wiadomość o rokowaniach ryskich przyjmował z niedowierzaniem, a zarazem z trudno tłumionym entuzjazmem, i zapewniał: „niech by to było prawdą, gotów jest na wszelką ofiarę ostatnią“.

W znacznie słabszym stopniu od wsi znosiły ciężar przemarszów miasteczka, choć i one były stale przeładowane obowiązkiem kwaterunkowym. Żydzi na początku zaleknięci, przerażeni, nieraz nie bez powodu, i przyciszeni, wkrótce odzyskiwali równowagę. W małych nawet miasteczkach po pierwszym momencie zdobycia łatwiej utrzymać dyscyplinę i normalne życie, niż w okresie nieustannych marszów w polu. Prócz czynnych zwolenników komunizmu, naogół w obecnym okresie nielicznych, którzy wywędrowali za bolszewikami, ogół żydowski z ulgą odetchnął po ich wyjściu. Mówiono w Gródku, w Lebedziewie i w szeregu innych miasteczek, że od chwili wyjścia wojsk polskich, do chwili ustalenia porządku po ich ponownym wkroczeniu, w miasteczkach tych nie było żadnego handlu. Gdzie niema handlu, tam dokonywa się powolne dogorywanie żydów. Mimo chwilowych, przemijających momen-

tów strachu, wojsko nasze, zwłaszcza od chwili wprowadzenia w życie rozejmu, było dla żydów miejscowych symbolem przywrócenia upragnionego z w y k ł e g o trybu życia, powrotu do czasów normalnych. Jeszcze niema regularnej, ruchliwej komunikacji pomiędzy poszczególnymi ośrodkami owej krainy, już jednak szykują się oni do niej, i w przeciwstawieniu do systemu bolszewickiego liczą na możliwość dawnych zysków w razie ostatecznego przez nas uporządkowania stosunków tamtejszych.

Białorusina w tej chwili (pisane w listopadzie 1920 r.) należy uważać za wahającego się, nieufnego, ze strachem patrzącego w przyszłość, skutkiem zupełnego ogołocenia kraju ze zboża, siana i kartofli, w żydzie żyje nadzieja odrodzenia pod panowaniem polskim dawniejszych form działalności gospodarczej, które czyniły go niezbędnym pośrednikiem na szlaku Wilno — Mołodeczno — Lida — Białystok.

Takie nastroje przepływały przez ludność Białorusi w ostatnich ubiegłych tygodniach lata i jesieni zeszłorocznej.

A na to wszystko przyszedł dla przeciętnego Białorusina w szczegółach swych niezrozumiałe przepisy traktatu ryskiego. On wie jedno, że wojna ustała. Zatrzymała się cała linja. Zmianie nie uległ system kwaterunkowy, lecz warunki tego systemu zmieniły się dość istotnie. Wojsko zostało ujęte w mocne ramy życia garnizonowego. Na

kwaterunkiem rozciągnięta surowa kontrolą. Obowiązki podwodowe zostały ograniczone do minimum. Apropowizacja wojska oparła się o dowóz obecnie w znacznym stopniu ułatwiony. Pobyt wojska zamienia się w źródło dochodów, sam kwaterunek staje się jakgdyby korzystnym procederem, a wiara w pokój powoli się utrwala. Pozostają jedynie niezagładszone blizny gospodarcze, spowodowane okresem ubiegłym.

Natomiast, bez porównania mniej korzystnym jest ukształtowanie polityczne, którego Białorusini z resztą nie rozumieją, ukształtowanie stworzone przez przepisy tego traktatu. Linją graniczną została od polskiej Białorusi odcięta jej stolica Mińsk, ośrodek intelektualnego życia polskiego i białoruskiego. Pozostaje on w ręku bolszewików, którzy w traktacie występują w imieniu republiki białoruskiej. Oficjalnie zabdykowano na rzecz Białorusi „ruskiej“ z reprezentowania całej Białorusi, mając po tej stronie granicy rozległe ziemie białoruskie, różnolity element białoruski i konieczność załatwienia spraw tego kraju z uwzględnieniem wymagań istniejącej kwestji białoruskiej. Lecz zarazem, na szczęście, niema potrzeby natychmiastowego, gwałtownego, ostatecznego urządzania ziem odstąpionych, wobec stałych powikłań poza granicą traktatową i nieuregulowanych dotąd stosunków na terenie dawnego W. Księstwa Litewskiego.

III.

Polityka nasza w sprawie białoruskiej, zarówno jak nasze postępowanie na ziemiach białoruskich, musi w swym ogólnym zarysie i w praktycznym rozwinięciu łączyć się z całokształtem powyższych powikłanych stosunków. Mówiąc inaczej, zasadnicze i praktyczne ujmowanie przez nas zagadnienia białoruskiego w chwili obecnej i w negatywnym i w pozytywnym sensie musi uwzględniać nie tylko nasze wewnętrzne i czysto polskie założenia musi odpowiadać wymaganiom lokalnym z jednej strony, względom ogólnej sytuacji europejskiej — z drugiej.

W chwili obecnej, w momencie różnych możliwości rozwiązania zatargu litewsko-polskiego, w dobie istnienia nieustalonych jeszcze formacji, jak Litwa Centralna i Kowieńszczyzna, ogólne sformułowanie stanowiska polskiego w sprawie białoruskiej musi się raczej liczyć z negatywną stroną zagadnienia. Polska musi dziś w tej sprawie, jak w szeregu innych, posiadać taki program ogólny, który da się utrzymać i w zgoła zmienionej sytuacji politycznej, który dziś i jutro da się obronić argumentami nowoczesnej ideologii międzynarodowej, który Polska sama będzie w stanie przeprowadzić. Nie należy natomiast tworzyć czegoś, co by mogło jutro wymagać całkowitej odmiany stanowiska.

Współczesna opinia międzynarodowa i inte-

res ludności krajów, o które chodzi, muszą się zgadzać z interesem Polski, która budując na własnej sile rozwiązanie swoje, wnosi swoją inicjatywę do stosunków wschodu polskiego. Inicjatywa ta zgóry przesądzać powinna o możliwości przecistawiania jej równoległej inicjatywy rosyjskiej, która w postaci przeciwpolskiej przyjdzie z Mińska. Bijąc szerokością swego stanowiska, musi inicjatywa polska zapowiadać stan rzeczy, który uniemożliwi również wszelkie związki litewsko-białoruskie pod egidą Kowna, zawsze dążącego do nacjonalistycznej supremacji litewszczyzny na ziemiach zupełnie obcych litewskości. Musi ona być wolną od zarzutów szczerzej w tym względzie opinii radykalnej angielsko-francusko-amerykańskiej i polityki nie-szczerzej opieki nad ludami, ciemnżonymi rzekomo przez „imperjalizm“ polski, musi być obronną przed intrygą prusko-niemiecką, znajdującą łatwy posłuch wśród nielicznych zresztą czystych „niepodległościowców“ białoruskich, wiszących chwilowo przy Kownie. A co najważniejsza, musi być na tyle realną, iżby jej nie należało co dnia zmieniać i przystosowywać do coraz to nowych ukształtowań sytuacji na tym nowoczesnym, jak dotąd, Bałkanie, i dostatecznie przeciwną wszelkiej bałkanizacji naszego pogra-cza. Z konieczności zatym, polityka polska musi tu w chwili dzisiejszej być jedynie możliwie naj-ogólniejszą i nie może przesądzać form konkre-

tnych przyszłego ustalenia stosunków, musi się utrzymać w ramach zapowiedzi, o c h a r a k t e r z e o b o w i ą z u j ą c y m, lecz na razie zapowiedzi tylko — typu odezwy wileńskiej naczelnego wodza z roku 1919.

Nie myślę tutaj mówić o formie administracji tego kraju, chciałbym tylko zaznaczyć, że zdaniem moim zarząd tych terenów wschodnich, winien być możliwie usamodzielnionym od kierownictwa centralnego i że winien się starać o pozyskanie spółudziału przede wszystkim przedstawicieli społeczeństwa miejscowego, zarówno polskiego, jak białoruskiego. Byłoby to podwójną gwarancją dla tego kraju: szczerości wykonania zapowiedzi ogólnej politycznej i faktycznego uwzględnienia jego interesów, byłoby jedynym sposobem ist o t n e g o przywiązania do Polski, zwłaszcza, jeżeli administracja konsekwentnie zajmie się w pierwszych szczególnie czasach dwiema dziedzinami życia.

Pierwsza dotyczy przywrócenia normalnego gospodarczego stanu kraju, przeważnie rolniczego. Troską zarządu tej ziemi winno być a) zapewnienie ludności zwłaszcza pasa, dziś pogranicznego, wzdłuż traktów i dróg wojennych, możliwości przetrwania zimy; b) zapewnienie obsiania i częściowego przynajmniej zagospodarowania wyniszczonych okolic oraz kraju całego. Zagadnienie to, z natury dzisiejszej naszej sytuacji gospodarczej bardzo trudne, na kresach wschod-

nich będzie łatwiejszym, niż by się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Wiem o trudnościach, które w tej dziedzinie leżą już nie tylko w stosunku do ziem wschodnich, lecz również i na ściślejszych ziemiach polskich. Na pewną, niedostateczną oczywiście pomoc tych ziem dla kreśłów liczyć można: jest to dla polityki naszego państwa nakazem dobrze zrozumianego interesu własnego i dlatego z wysiłkiem, choćby znacznym, musi się zdobyć tu w b. królestwie czy w b. dzielnicy pruskiej część środków na potrzeby zaprowiantowania i zagospodarowania Wschodu.

Z tego stanu rzeczy zdają sobie doskonale sprawę nasze czynniki miarodajne.

Państwo nasze jednak samo potrzeb ziem wschodnich nie będzie w stanie zaspokoić, dla uzyskania zaś reszty brakujących środków trzeba się będzie zwrócić po pomoc zewnętrzną, przede wszystkim amerykańską. W przekonaniu moim, tę pomoc z Ameryki będzie można z łatwością uzyskać, jeżeli Ameryka będzie miała pewność, że całkowity zasób przysyłanych produktów pójdzie wyłącznie na potrzeby ziem zniszczonych. Niezbędnym warunkiem skutecznej pomocy będzie udział społeczny w samym zarządzaniu i rozporządzaniu zasobami, przesyłanymi z Ameryki: rozdzielcze prowiantowe komitety miejskie, polsko-białorusko-żydowskie, i powiatowe prowiantowo-gospodarcze polsko-białoruskie, pracujące samodzielnie, lecz pod kontrolą ogólnej administracji,

stworzone natychmiastowo ułatwią rokowania z Ameryką w sposób poważny. A powołane do życia w chwili obecnej i wyposażone w istotne zadania wagi pierwszorzędnej komitety te, rozumnie pokierowane przez administrację, stać się mogą szkołą życia publicznego dla mało wyrobionej ludności tego kraju, ułatwią poznanie jego potrzeb i wpłyną na większe zespolenie poszczególnych elementów tej ludności między sobą i na związanie jej z administracją.

Druga dziedzina obejmuje leżące całkiem odłogiem szkolnictwo i kulturę. I tu na plan pierwszy wysuwa się sprawa języka białoruskiego. Mimo trudności określenia tego, co należy rozumieć przez język białoruski, jakem to wyjaśnił wyżej, istnieje on, jako coś odrębnego od języka rosyjskiego. Obok tego faktu, istnieje, czy istniał fakt drugi: tendencja do rusyfikacji białoruszczyzny. Jeżeli zatem mówię o sprawie używania języka białoruskiego, to muszę podkreślić, że używanie języka „tutejszego“ musi się stale odbywać pod osłoną przed przemycaniem pod pozorem białoruszczyzny czystej mowy wielkorusyjskiej. Powinniśmy stanąć na stanowisku obrony białoruskiego przed rusyfikacją i zapewnić pierwszemu rozwój przy zupełnym wykluczeniu drugiego z całego ustąpionego nam terytorjum. Zachodzi zatem pytanie, w jakim zakresie i w jakich dziedzinach ma mieć zapewnione prawa język miejscowy. W sensie biernym winien

on mieć według mego mniemania prawo obywatelstwa w całej rozciągłości i w administracji i w sądownictwie państwowym obok języka polskiego, któremu przysługuje wyłączne prawo czynne: przez prawo bierne rozumiem język, w którym zwracają się obywatele do urzędów, zarówno na piśmie, jak i ustnie, przez prawo czynne języka w urzędach rozumiem język urzędowania organów administracyjnych i sądowych. W zakresie samorządu komunalnego, zarówno gmin wiejskich, jak i miejskich, które winny być natychmiastowo uruchomione, białoruszczyźnie przysługiwać będzie prawo równe z językiem polskim, przyczym obwieszczenia władz komunalnych winny być ogłaszane w obu językach. Do organów nadzorczych administracji należyć będzie troska o to, aby białoruszczyzna urzędowa była najbardziej zbliżona do gwar zachodnich i możliwie wolna od wpływów rosyjskich.

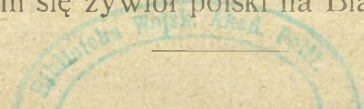
Troska o uwolnienie białoruszczyzny z pod wpływów języka i myśli rosyjskiej, związanie jej z polskością obciążać będzie w silniejszym jeszcze stopniu pracę kulturalno-oświatową. Najważniejszym zadaniem zresztą inicjatywy niepaństwowej, której jednak dzisiaj bez pomocy państwa nie sposób rozwiązać, będzie założenie wielkiego dziennika ludowego, rozsyłanego prawie za darmo, którego celem będzie wyrugowanie niedawnej prasy białoruskiej, w ogromnych ilościach rozrzucanej przez bolszewików. Spokojna infor-

macja ludowa, język, wolny od naleciałości wschodnich i alfabet łaciński winny być na całej przestrzeni aż po granicę traktatu ryskiego łącznikiem między tym krajem, a kulturą polską. W tej samej płaszczyźnie mieści się kwestja oświaty ludowej. Obok zagospodarowania powinna administracja ziem wschodnich dbać przedewszystkim o stworzenie wielkiej sieci szkół ludowych. Przy tworzeniu tych szkół wypadnie się oprzeć na trzech elementach: na zasiłku pieniężnym i dozorze państwa, na inicjatywie i zabezpieczeniu materialnym gminy i na pomocy organizacji kościelnych. Język białoruski w szkole ludowej musi mieć całkowite równouprawnienie z polskim. Szkoła ludowa polska lub białoruska zakładana będzie stosownie do decyzji gminy, która winna mieć prawo wyboru języka szkolnego, lecz zarazem musi dać dom szkolny, grunt dla nauczyciela i ponosić część kosztów jego wynagrodzenia. Państwo, które dbać będzie nietylko o przygotowanie fachowe nauczyciela, lecz i o istotną białoruszczyznę jego wykładu w szkole, o języku nie-polskim, kontrolując szkolnictwo przez swój inspektorat, zbudowany na wzór inspektoratu w b. królestwie, musi dać przygotowanie nauczycielom w seminarjum dwujęzycznym i dopełnić utrzymania nauczycieli. Na terenie tych ziem białoruskich wypadnie również natychmiastowo utworzyć obok gimnazjów polskich kilka państwowych gimnazjów białoruskich, wzorowych, któ-

rych program i skład nauczycielski będą wymagały szczególnej pieczołowitości rządu. Z gimnazjów prywatnych — w moim przekonaniu — żadne nie może mieć języka wykładowego białoruskiego, ani tym bardziej rosyjskiego, zarówno bowiem pierwsze jak i drugie będą zwłaszcza przez żydów ukrytymi rozsądnikami wpływu rosyjskiego, z którymi wypadnie tutaj podjąć energiczną walkę w interesie polskim i szczególnie jeszcze w interesie kultury białoruskiej. Narzuconym przez carat i bolszewizm wpływom moskiewskim trzeba przeciwstawić wpływy polskie i stworzyć na Białorusi dla białoruszczyzny warunki swobodnego rozwoju w związku z kulturą zachodu.

IV.

Polityka nasza prowadzona w ten sposób liczyłaby się z realnymi stosunkami miejscowymi. Broniąc ludności Białorusi od narzuconych jej wpływów budowałaby fundamenty trwałego jej związku z Polską: w świadomości zbiorowej powstałoby bowiem i rosło poczucie istotnego interesu, jaki dla Białorusi istnieje w połączeniu z polskością, pierwiastek psychiczny, z którego początek swój weźmie możność późniejszego oddziaływania i na Mińszczyznę i na Kowieńszczyznę, na którym ugruntuje się wpływ Polski i dzięki któremu umocni się żywioł polski na Białorusi.





21676/
7

